



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Sylwester Kukula

## Moja wojenna tułaczka

Urodziłem się jako dziesiąte z kolei dziecko, a szóste z pozostałych przy życiu. Chociaż ojciec i starsze rodzeństwo pracowali w miejscowym majątku rolnym, to jednak ich zarobki były groszowe i w domu odczuwało się biedę. Jako dziecko byłem wątłego zdrowia i chyba dlatego (albo jako najmłodszy) traktowany byłem jak oczko w głowie.

W szkole podstawowej byłem zawsze prymusem, brałem udział w uroczystościach państwowych i szkolnych jako deklamator okolicznościowych wierszy. Z recytacjami byłem zapraszany do okolicznych majątków rolnych. Dzięki staraniom kierownika szkoły, proboszcza i wójta, otrzymałem stypendium i mogłem kontynuować naukę w gimnazjum. Nauka ta została brutalnie przerwana w dniu 1 września 1939 roku, właśnie w dniu mającego się rozpocząć nowego roku szkolnego 1939/1940.

Jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych musieliśmy się udać na przymusową ewakuację, gdyż front już się zbliżał do naszej wioski (od granicy polsko-niemieckiej było zaledwie 20 kilometrów). Nasza ucieczka na folwarcznych furach trwała 10 dni. Tuż przed Turkiem dogoniły nas patrole niemieckie. Po ustaleniu skąd jesteśmy, kazały nam wracać do naszej miejscowości. W domu byliśmy 10 września. Zastaliśmy wszystko w takim stanie, jak przed ucieczką. Muszę przyznać, że w czasie tej przymusowej ucieczki nie doznaliśmy żadnej przykrości ze strony żołnierzy niemieckich, a raczej współczucie. Dziwili się, że uciekaliśmy przed Niemcami. Nasi ojcowie również byli zdania, że niepotrzebnie ulegliśmy presji władz wojskowych, gdyż „za Wilhelma” nie było najgorzej, więc i teraz nie będzie źle.

Sytuacja jednak już po kilku dniach uległa całkowitej zmianie. Wszyscy starsi ludzie zaczęli mówić, że czasy „Wilhelma” już nie wrócą, a dzisiejsi Niemcy, to nie ci sami, co dawniej. Natychmiast zamknięte zostały wszystkie szkoły, kina, teatry, a nawet kościoły. Wprowadzono zakaz słuchania radia i godzinę policyjną od zmierzchu do świtu. Zabroniono gromadzenia się i noszenia wszelkiego rodzaju uniformów, łącznie z mundurkami szkolnymi. Wszystkie zakazy nie odstraszały jednak nas młodych od organizowania spotkań w różnych ukrytych miejscach.

Przed wojną nie należałem do żadnej organizacji (wieś oddalona o 7 kilometrów od miasta powiatowego), poza ministranturą w naszej parafii, która powstała w 1935 roku. Ale już w październiku 1939 roku wstąpiłem do harcerstwa i w grudniu złożyłem przysięgę. Przez harcerstwo zacząłem uczestniczyć w ruchu oporu. Działalem w organizacji „Ojczyzna” – Ochotnicze Wojsko Ziemi Zachodniej, utworzonej przez harcistrzów Edwarda Serwańskiego i Zbroisława Muszyńskiego. Na naszych spotkaniach zrodziła się myśl prowadzenia tajnego nauczania, aby po zakończeniu wojny (której bliski

koniec przewidywaliśmy) niezwłocznie przystąpić do dalszej nauki w szkołach, bez większych luk w programie. Kto był inicjatorem – trudno dziś powiedzieć.

Już w listopadzie 1939 roku utworzono komplety według klas gimnazjalnych. Ja prowadziłem uczniów z programu I klasy gimnazjum, a sam uczestniczyłem w komplecie dla IV klasy. Nikt z nas wówczas nie myślał, że wojna będzie trwała tak długo i że każdemu z nas los wyznaczy inną drogę.

Mój udział w ruchu oporu przez przynależność do harcerstwa (później Szare Szeregi) polegał na zbieraniu informacji o Wehrmachcie, uprawianiu małego sabotażu i propagandy antyhitlerowskiej. Na zbiórkach zajmowaliśmy się służbami pomocniczymi dla wojska.

Od momentu wkroczenia oddziałów hitlerowskich na teren Wielkopolski rozpoczął się okres masowego brania zakładników, aresztowań oraz pierwszych transportów do obozów koncentracyjnych. Zakładnicy mieli ręczyć swym życiem za spokój i bezpieczeństwo Niemców. Nie było powiatu, miasta czy miasteczka, nawet wsi, gdzie hitlerowcy – w obawie o życie – nie aresztowali wybitnych Polaków. Zdarzały się przypadki, że zakładników mordowano na miejscu. W więzieniu w Ostrowie Wielkopolskim trzymano do grudnia 1939 roku kilkunastu obywateli, po czym wywieziono ich za Kalisz, do lasu w Winiarach i tam wymordowano (tu został zamordowany nasz dyrektor gimnazjum i liceum dr Adam Czechowski).

Od października 1939 roku miały miejsce pierwsze wypadki wywłaszczania i wysiedlania Polaków. Na ich miejsce byli przywożeni Niemcy ze wschodnich rejonów Polski, a później z krajów nadbałtyckich. Nasza działalność w WOZZ „Ojczyzna” była ukierunkowana głównie na ostrzeganie rodaków znajdujących się na listach przeznaczonych do wysiedlenia. Wszystkie akcje, takie jak branie zakładników, aresztowania, wywłaszczania czy wysiedlania – połączone z ciągłymi rewizjami pod pozorem szukania broni, radia, niedozwolonych książek – przeprowadzane były bardzo brutalnie. Szczególny terror stosowany był po akcji sabotażowej przeprowadzonej 28 marca 1940 roku na linii kolejowej Ostrów-Katowice. Zaczęły się masowe aresztowania. Od połowy kwietnia 1940 roku przerwaliśmy prowadzenie tajnych kompletów nauczania. W obawie przed wywiezieniem na przymusowe roboty do III Rzeszy podjąłem pracę w ogrodzie miejscowego majątku rolnego, obsadzonego już przez Niemców przybyłych z Rygi. (Właściciel, Polak, w dniu 19 grudnia 1939 roku został wysiedlony do Generalnej Guberni). Podjęcie pracy u Niemca nie uchroniło mnie jednak od aresztowania, które nastąpiło 14 maja 1940 roku W dniu 26 maja 1940 roku osadzony zostałem w obozie koncentracyjnym Dachau (moje aresztowanie miało nastąpić wcześniej, ale o tym dowiedziałem się dopiero po wojnie z dokumentu wystawionego przez Archiwum Państwowe w Poznaniu). Tak zaczęła się moja wojenna tułaczka.

14 maja 1940 roku – wtorek po Zielonych Świątach. Wstałem jak zwykle (od kwietnia) o godz. 5.00, aby zdążyć na godz. 6.00 do pracy w folwarcznym ogrodzie. Słońce już dobrze przygrzewało. Pierwszą moją czynnością było podlanie posadzonych tuż przed świętami rozsąd kapusty i kalafiorów. Wodę nosiło się z pompy odległej o jakieś 100 metrów od zagonów. Ta czynność trwała do przerwy śniadaniowej o godz. 8.00. Po posiłku, o godz. 8.30, przystąpiłem do obcinania i wyrównywania żywopłotu. Praca ta była bardzo trudna, gdyż kłącza były bardzo wyrosnięte, chyba nie obcinane od dwóch lat. Po godzinie 10.00 zobaczyłem trzech policjantów jadących przez wieś na rowerach. Po kilku minutach dwaj z nich zjawili się w majątku i wraz z córką ówczesnego jego administratora (dr Hach z Rygi) przyszedli do mnie. Sprawdzili personalia, powiedzieli, że są zgodne z ich listą i dlatego mam się udać z nimi. Pamiętam, że pani Renatte Hach zapytała ich, czy to konieczne. Padła krótka odpowiedź: „Jawohl, das ist notig” (Tak, to konieczne). „Mamy rozkaz odprowadzić tego Polaka do gestapo w Odolanowie”. Najpierw z ogrodu zaprowadzili mnie do domu, abym się przygotował do drogi i zabrał prowiant na dwa dni. W tym czasie jeden z policjantów nie odstępował mnie nawet na krok, drugi zaś przeprowadzał rewizję w mieszkaniu. Rodzice moi w tym czasie zostali postawieni pod ścianą i nie wolno im było się ruszać. Kiedy powiedziałem, że jestem gotów, pozwolili mi pożegnać się z rodzicami. Pozostałe rodzeństwo – 4 siostry (brat już był wywieziony do Rzeszy) – było w tym czasie w pracy na folwarku i nic o całym zajściu nie wiedziało. Następnie poprowadzili mnie do wójta, którym był teraz Niemiec Rozpenk – do września 1939 roku rolnik i sklepikarz zamieszkały w naszej wsi. Tu zastałem już moich dwóch szkolnych kolegów (na szczęście nie z tego samego kompletu tajnego nauczania, ale też z organizacji), a po kilku minutach doprowadzono jeszcze jednego naszego starszego kolegę – kłeryka seminarium duchownego w Poznaniu. Było już po godzinie 12.00, gdy nasza czwórka, pod konwojem dwóch policjantów na rowerach, wyruszyła pieszo do Odolanowa (11 kilometrów). W czasie drogi nie wolno nam było rozmawiać. Policjanci też nie odzywali się do nas. Około 15.00 przybyliśmy na posterunek policji w Odolanowie. Tu sprawdzono ponownie nasze personalia i rozdzielono nas po celach. Następnego dnia od rana zaczęły się przesłuchania, prowadzone przez oficerów SS, głównie dla wymuszenia przyznania się do udziału w ruchu oporu i podania nazwisk przywódców. Mnie nie bito, natomiast obiecano mi zwolnienie, jak tylko podam nazwiska innych osób, o których wiem, że należą do akcji zbrojnej przeciwko Niemcom. Na wszystkich przesłuchaniach odpowiadałem, że zbieraliśmy się po dwóch, po trzech w celu nauki języka niemieckiego. Po trzech dniach przesłuchań przewieziono

nas pod policyjną eskortą do Nowych Skalmierzyc pod Kaliszem, gdzie w budynku szkoły został zorganizowany przejściowy obóz dla Polaków. Jak się potem okazało, formowano stąd transporty do obozów koncentracyjnych. W dniu mojego przybycia do Nowych Skalmierzyc w szkole znajdowało się ponad 300 Polaków z miasta Ostrowa i całego powiatu ostrowskiego. Spotkałem tu kilkudziesięciu kolegów z gimnazjum i liceum ostrowskiego, wielu nauczycieli z różnych szkół oraz licznych przedstawicieli wolnych zawodów. Tu w Skalmierzycach już nie byliśmy poddawani przesłuchaniom. Przebywaliśmy stale w salach lekcyjnych (po około 100 mężczyzn). Poza szykanami i wyzwiskami w języku niemieckim, a nawet polskim, nic się szczególnego nie działo. Pilnowali nas głównie członkowie Hilfspolizei. Byli to Volksdeutsche, dawni obywatele polscy, znający nasz język lepiej od niemieckiego. Najwięcej szykan i obelg doznawaliśmy w czasie trwającego po 20 minut porannego i wieczornego spaceru na dziedzińcu szkolnym. Po tygodniu kilkunastu z nas opuściło budynek szkoły, wśród nich również moi dwaj koledzy z ławy szkolnej – Mieczysław J. i Tadeusz K. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że zostali oni zwolnieni i powrócili do domu. Ja zaś z moim starszym kolegą, klerikiem seminarium duchownego Stanisławem Szymanowskim i innymi współwięźniami w dniu 24 maja 1940 roku zostałem przewieziony na stację kolejową w Ostrowie Wielkopolskim. Cały teren dworca otoczony był gęstym kordonem esesmanów (takich widziałem po raz pierwszy) – wszyscy z emblematami trupich czaszek, uzbrojeni w pistolety automatyczne, a co piąty z nich trzymał na smyczy psa. Pod dodatkową silną eskortą wprowadzono nas na peron.

Kilkanaście minut czekaliśmy w zwartej grupie na pociąg. Nie wolno nam było poruszać się ani rozmawiać. Wreszcie nadjechał pociąg z kilkudziesięcioma wagonami do przewozu bydła. W środku byli już ludzie. Popędzono nas z wielkim krzykiem, biciem pałkami, kolbami karabinów i kopniakami do trzech ostatnich wagonów. Na peronie w Ostrowie dołączono do naszej grupy kolejarza, ojca jednego z naszych kolegów.

Nasz transport, w liczbie 1497 więźniów, dotarł w dniu 26 maja 1940 roku do Dachau.

## Dachau

Na stację kolejową miasta Dachau pociąg nasz wtoczył się powoli około godziny 20.00. Po kilku minutach postoju ruszył, aby zatrzymać się na bocznicę. Do naszych uszu dochodził zgrzyt otwieranych drzwi pierwszych wagonów, okropne krzyki, wrzaski i jęki. Potem odgłos ryglowania drzwi. Po około 30 minutach przysła kolej i na mój wagon. To esesmani otwierali wagony, aby wypuścić na pobocze toru więźniów dla załatwienia pilnej potrzeby fizjologicznej. Odbywało się to szybko, przy piekielnych wrzaskach i biciu. Następnie ponownie zapędzili nas do wagonów i zaryglowali drzwi. Ze względu na późną porę nie wpuszczono nas do obozu. Pozostaliśmy więc w wagonach na bocznicę pod strażą esesmanów. Pomimo zmęczenia 48-godzinną jazdą nikt z nas nie mógł zasnąć tej nocy. Nie pozwalali na to nasi strażnicy – przez całą noc strzelali (chyba żeby nas zastraszyć) i obrzucali nas wyzwiskami w rodzaju „polnische Banditen” itp.

Około 6.00 rano powtórzyło się otwieranie drzwi wagonów i wypędzanie nas dla załatwienia się, ale już nie wróciliśmy do wagonów. Ustawiono nas piątkami w kolumnę marszową. Byliśmy obstawieni gęstym, ponurym, milczącym szpalerem uzbrojonych po zęby esesmanów. Stali rozkraczeni z bronią gotową do strzału. Spod nasuniętych na czoło hełmów wзираły wściekle spojrzenia. Gdy kolumna była już ustawiona przeliczono nas i ruszyliśmy. Szliśmy wzdłuż willowego osiedla ulicą Strasse der SS. Było to osiedle zamieszkałe przez funkcjonariuszy SS – nie tylko z załogi obozowej, ale innych, ponieważ tu, w Dachau, mieściła się Junkerschule.

Marsz nie trwał dłużej niż 20 minut. Wkrótce czoło kolumny zatrzymało się przed wyrastającym z betonowego muru budynkiem. Padła komenda: „Mutzen ab”. Ci w dalszej części kolumny albo nie słyszeli tego, albo nie zrozumieli polecenia „czapki zdjąć”. Nagle spadły na nich razy. Bito ich pałkami, kolbami, kopano i wyzywano: „kretyni”, „bydlaki”, „świńskie psy”, „bandyci”, „partyzanci” itp. Wreszcie ciężka, ażurowa, kuta z żelaza brama z napisem „ARBEIT MACHT FREI” otworzyła się powoli. Uzbrojona eskorta pozostała w topolowej alejce przed budynkiem, a nas popędzono dalej, w czeluść ciemnego tunelu pod gmachem głównej wartowni i kancelarii komendantury obozu. Wprowadzono nas na duży plac, zalany już porannym słońcem. O tej porze był pusty. Ustawiono nas w grupy po 100 osób. Za naszymi plecami ustawiono przenośne latryny, a za nimi, w głębi, ujrzałem dwa baraki, długie na 100 m, a przed nami duży budynek centralny, z dwoma bocznymi skrzydłami. Na dachu budynku głównego olbrzymi napis: „ES GIBT NUR EINEN WEG ZUR FREIHEIT. SEINE MEILENSTEINE HEISSEN: GEHORSAM-FLEISS EHRlichkeit-ORDNUNG-SAUBER-KEIT-NUCHTERNHEIT-WAHRHAFTIGKEIT-OPFERSINN und LIEBE zum YATERLAND.” (Jest tylko jedna droga do wolności, jej słupy milowe nazywają się: posłuszeństwo, pilność, uczciwość, porządek, czystość, trzeźwość, prawdomówność, ofiarność i miłość do ojczyzny).

Tak się zaczął ten pamiętny dzień – 26 maja 1940 roku – niedziela. Zamiast do kościoła, trafiłem do KL-DACHAU. Zegar nad bramą wejściową wskazywał godzinę 7.15.

Na placu zaczął się jakiś ruch. Od strony baraków wyszła duża grupa mężczyzn ubranych w biało-niebieskie pasiaki i takie też okrągłe czapki bez daszków. Szli dwoma rzędami niosąc duże, niebieskie kotły, ponaglani przez kroczących obok nich kilku mężczyzn z czarnymi opaskami na rękawie z widocznym numerem. Odczytałem „14, 19, 18, 21”. Kolumna weszła do budynku, który później poznałem jako kuchnię. Po pozostawieniu tam kotłów więźniowie kolejno wychodzili innymi drzwiami. Czekali na pozostałych formując kolumnę, aby następnie biegiem ruszyć w stronę baraków. Mimo dość wczesnej pory słońce już tak prażyło, że pasiaki (zebry) mieniły się w oczach. Zobaczyłem więźniów. Ja sam miałem być jednym z nich przez 5 lat.

Do nas podeszło teraz kilkunastu więźniów z czarnymi opaskami na rękawach, na których widniały napisy: „Lageraltester”, „Lagerkapo”, „Blockältester”, „Dolmetscher”, „Lagerlaufer”, a pod napisami liczby „5”, „11”, „12”, „13”, „14”, „16”. Więźniowie bez opasek ustawili za nami duże skrzynie, a przed nami stół-schodki, po czym udali się do jednego ze skrzydeł budynku. Nie wolno im było zbliżyć się do nas, ani rozmawiać. Ci z opaskami, jak jeszcze w tym samym dniu mogłem się dowiedzieć, stanowili „władzę obozową”, która pomagała funkcjonariuszom SS utrzymywać wszystko w ryzach.

Za chwilę podeszło kilku esesmanów. Jeden z nich wstąpił na podwyższenie i odezwał się do nas po niemiecku. Przemówienie szybko przetłumaczył „Dolmetscher” (tłumacz). Brzmiało to mniej więcej tak, o ile dziś jeszcze dobrze pamiętam: „Jesteście wrogami narodu niemieckiego, dlatego społeczeństwo niemieckie wyrzuciło was poza nawias życia. Jesteście w Dachau, gdzie najmłodszy rekrut będzie waszym przełożonym, któremu macie oddawać honory wojskowe. Jesteście w obozie koncentracyjnym Dachau, skąd się nie wychodzi”.

Znającym język niemiecki z wypowiedzi esesmana (był nim pierwszy Lagerführer SS-Hauptsturmführer Egon Zill) wrył się w pamięć końcowy fragment, tak przetłumaczony (przez tłumacza Jana Domagałę z Kępna): „...jesteście w Dachau, skąd wyjść trzeba. Trzymać się!”. Te słowa towarzyszyły mi przez wszystkie dni pobytu w obozach, bo było ich kilka (obozów, nie dni).

Zaczął się ponowne sprawdzanie list przez wyczytywanie nazwisk, następnie grupami wprowadzono nas do budynku, do którego wcześniej weszli więźniowie. Przed drzwiami należało złożyć oddzielnie, do uprzednio przygotowanych skrzyń: posiadany jeszcze chleb, pieczywo słodkie, napoje, puste butelki, papierosy i tym podobne przedmioty, które nie były przechowywane w magazynie odzieżowym.

Przyszła kolej na grupę, w której i ja byłem. Weszliśmy do dużego pomieszczenia, gdzie przy kilku stolikach siedzieli więźniowie. Najpierw spisano nasze personalia, wpisano nas na listę i przydzielono każdemu numer obozowy (mój 11894). Musieliśmy oddać ubrania, bieliznę, buty i wszystko cokolwiek posiadaliśmy w rękach i na sobie, nawet krzyżyki i medaliki. Wolno było zatrzymać chusteczkę, pasek lub szelki oraz okulary optyczne. Wszystko zostało dokładnie opisane, zapakowane do worka, a worek z numerem więźnia i nazwiskiem odniesiono do przechowalni (Effektenkammer). Przeszliśmy do łaźni, gdzie ostrzyżono nas i ogolono z wszelkiego owłosienia. Następnie udaliśmy się pod prysznic (łaźnia mieściła jednorazowo 100 ludzi). Po kąpieli zanurzono nas w dużych kadziach, napelnionych chyba wodą z karbolem, bo bardzo to było cuchnące. Później przeszliśmy przez badania lekarskie i dentystryczne, po czym kazano nam przywdziać obozową bieliznę, pasiaki i trzewiki skórzane, które wkrótce mieliśmy zamienić na drewniane trepy.

Trzymając w ręce dwa paski z numerami więźnia i dwa czerwone trójkąty z literą „P”, opuściłem łaźnię. Na uliczce przed łaźnią formowano nas w kolumnę po dziesięciu w szeregu. W tym nowym stroju i pod tak silnymi promieniami słońca nie poznawaliśmy się wzajemnie. Nawet kolegi z ławy szkolnej nie można było rozpoznać, tak byliśmy wszyscy odmienieni, podobni do siebie jak Chińczycy.

Po ustawieniu kolumny z 200 więźniów, w asyście więźniów-Niemców z opaskami „Blockältester”, poprowadzono nas w kierunku baraków. Zegar na głównej bramie obozowej, którą przekroczyliśmy o godzinie 7.00, teraz wskazywał 12.30.

Moja grupa została ulokowana w bloku nr 11 – izba 2. O dziwo, czekały tu na nas kotły z jedzeniem. Musiały być przyniesione, gdy byliśmy w łaźni. Otrzymaliśmy miski aluminiowe i łyżki. Polecono nam ustawić się w szeregu, po czym sztabowy (starszy izby) rozpoczął wydawanie posiłku. Otrzymaliśmy po litrze dość gęstego makaronu z rozgotowanymi kęskami mięsa. Był to pierwszy gorący posiłek od trzech dni. Makaron bardzo mi smakował, a w porównaniu z jedzeniem, jakie otrzymaliśmy w Nowych Skalnierzycach – był wspaniały. Pomyślałem sobie, że chyba nie będzie tak źle. Niestety, bardzo się pomyliłem. Późniejsza rzeczywistość okazała się bardzo złą. Takie jedzenie było przygotowywane bardzo rzadko – tylko na specjalną okoliczność. Taką okolicznością był nasz „Zugang” – nowicjat, czyli świeży dopływ zdrowych, młodych ludzi.

## Kwarantanna

Cały nasz transport – 1495 osób (dwie osoby zostały zastrzelone podczas drogi z Polski do Dachau) – został rozlokowany w dwóch barakach (bloki nr 11 i 13). Uliczki blokowe zostały zamknięte prowizoryczną barierą (żerdzie zbite w kopertę i przeplecione kolczastym drutem). Wyjście na aleję obozową było zabronione.

Po posiłku i wymyciu misek rozdano nici i igły, aby ponaszywać trójkąty i numery na pasiaki. Wszystko musiało być naszyte na odpowiedniej wysokości i we właściwym odstępnie. Na bluzie, na wysokości drugiego guzika (na sercu) – czerwony trójkąt, nad nim numer i taki sam na prawej nogawce spodni, na zewnętrznej stronie powyżej kolana. Od tej pory numer więźnia stał się jego nazwiskiem.

Każdy z nas po dostarczeniu do obozu przechodził kwarantannę. W tym czasie uczył się potrzebnych zwrotów w języku niemieckim, szarż esesmanów, przepisowego maszerowania, zdejmowania czapki dla oddania honorów esesmanowi, pieśni niemieckich. Oprócz tego zapoznawał się z porządkami obowiązującymi w bloku i z regulaminem obozowym. Całą tę wiedzę i umiejętności umacniały ćwiczenia karne, takie jak: skakanie żabką, przysiady z taboretom lub czołganie się po żwirowatej uliczce blokowej (Block-strasse). Codziennie przebywaliśmy na tej uliczce blokowej, bez względu na pogodę. Do baraku wchodziło się tylko na spanie i na posiłek lub w bardzo koniecznym przypadku do ubikacji. Kwarantanna trwała 6 tygodni. Potem zostaliśmy rozdzieleni do bloków dla pracujących. Wielu z nas tuż po kwarantannie zostało wysłanych do innych obozów. Mój starszy kolega – kleryk Stanisław Szymanowski wyjechał do Mauthausen-Gusen i tam w październiku 1940 roku został zabity w kamieniołomach. Jego prochy rodzina sprowadziła do Polski. Zostały złożone na naszym cmentarzu parafialnym w Górzycach Wielkich.

Szczególną szykaną w czasie kwarantanny był całkowity zakaz palenia tytoniu. Ja nie byłem jeszcze nałogowym palaczem, ale już w gimnazjum pociągałem sobie. Widząc, jak nałogowi palacze się męczą, jak za niedopałek papierosa gotowi są oddać skromną rację chleba i narazić się na katowanie, powiedziałem sobie: „żeby Niemiec bił mnie za papierosa – nigdy!”. Od tej pory nie miałem w ustach papierosa. Tęgie lanie obrywało się również za przyłapanie na modlitwie lub przy robieniu znaku krzyża świętego. Nie wolno nam było pisać listów.

W czasie kwarantanny nasze apele odbywały się na uliczce blokowej. Bloki pracujące miały apele na placu.

Zapomniałem wspomnieć, że następnego dnia po przybyciu, w poniedziałek 27 maja, byliśmy w grupach po 20 osób wyprowadzani do „Politische Abteilung”, gdzie zrobiono nam zdjęcia w trzech pozach i poddano przesłuchaniom. Spisano ponownie personalia.

## Blok 10

Po kwarantannie trafiłem do bloku nr 10 dla pracujących i też na izbę 2. Dziwnym trafem podczas pobytu w Dachau – później na innych blokach – zawsze trafiałem na izbę drugą. Było to o tyle lepiej, że wszystkie lustracje z reguły zaczynały się od pierwszej, więc można było już trochę się przygotować, a ponadto mniej było osób funkcyjnych, co też zmniejszało okoliczności „podpadnięcia”.

Po przejściu do bloku dla pracujących wolno nam było napisać pierwszy list o treści: „Ich befinde mich im Konzentrationslager Dachau. Ich bin gesund und fiele mich gut. Herzliche Grusse Euer Sohn Sylwester” (Znajduję się w obozie koncentracyjnym Dachau. Jestem zdrow i czuję się dobrze. Serdeczne pozdrowienia. Wasz syn Sylwester).

Od tej pory regularnie co dwa tygodnie należało pisać list. Gestapo to kontrolowało i w przypadku braku listu od więźnia do domu przez 3 miesiące, więzień był wzywany dla wyjaśnienia przyczyn braku korespondencji.

Na blok 10 trafiłem dzięki temu, że przy spisywaniu personaliów w kancelarii obozowej, pouczony przez więźnia, podałem jako zawód: uczeń ogrodnicy (przed aresztowaniem pracowałem w ogrodzie), a nie jak widniało w uzasadnieniu aresztowania – student. Nasz blok obsadzony był więźniami różnych narodowości. Najwięcej było Czechów, Jugosłowian i Polaków. Starszym bloku był Niemiec, Hugo Gutman. Charakter tego człowieka godny był jego nazwiska – „dobry człowiek”. Takim pozostał w mej pamięci, nawet później, gdy zostałem starszym obozu.

To, że zarejestrowałem się jako „uczeń ogrodnicy” sprawiło, że po roku pobytu otrzymałem przydział do pracy w ogrodnictwie przyobozowym (Lagergärtnererei). Później – od kwietnia 1941 roku (już jako ogrodnik) – zatrudniony zostałem w prywatnym ogrodnictwie w „Gärtnererei-Nützl” pod Monachium. Komando nasze liczyło 15 więźniów: kapo – Austriak, murarz – Niemiec, dziewięciu więźniów-ogrodników (Czesi, Polacy, Jugosłowianie) i trzech robotników niewykwalifikowanych (Polacy). Do roboty i z powrotem byliśmy wożeni przez właściciela ogrodu jego samochodem, napędzanym z butli na gaz płynny. Komando to zaliczało się do lepszych w obozie.

Pan Nützl nielegalnie zaopatrywał nas w żywność, którą spożywaliśmy na miejscu, co pozwalało nam oddawać porcje obozowe kolegom. Każdy z nas miał swoich „podopiecznych”. Moi przeżyli obóz i utrzymujemy ze sobą do dzisiaj przyjacielskie stosunki.

W czasie pracy w komandzie roboczym „Gärtneri-Nützl” nawiązałem kontakt z dwiema Niemkami, które przychodziły po warzywa i rozsady. One to dostarczały mi różne lekarstwa, które przynosiłem do obozu dla chorych kolegów. Pewnego dnia, pod koniec czerwca 1942 roku (dokładnej daty nie pamiętam), przy powrocie z pracy zostaliśmy odstawieni w boczną uliczkę przy głównej bramie wejściowej do obozu, gdzie byliśmy poddani dokładnej kontroli osobistej. Miałem przy sobie lekarstwa, które na szczęście udało mi się jakoś wdeptać w trawę przy chodniku. Znalaziono natomiast w moich kieszeniach okruchy tytoniu, co wzbudziło podejrzenie, że do pracy chodzę z papierosami. Palenie w obozie było dozwolone tylko w czasie wolnym od pracy, po posiłkach. Nie mogłem się przyznać, że nie palę, a wynoszę tytoń zakupiony w kantine obozowej (gdzie był bez kartek) i zamieniam go w miejscu pracy na jedzenie i lekarstwa. Faktu znalezienia okruchów tytoniu w moich kieszeniach nie umiałem wytłumaczyć, a moje wyjaśnienia nie trafiały kontrolującemu mnie esesmanowi do przekonania. Jednym słowem: wpadłem. Prosto spod bramy, z pominięciem głównego apelu, zostałem odstawiony do rewiru (szpital obozowy) na stację doświadczalną z malarią gdzie od kwietnia 1942 roku prof. Claus Schilling prowadził swoje badania nad specyfiką przeciw tej chorobie. Przebywałem tam do 15 sierpnia 1942 roku. W tym okresie byłem świadkiem różnych innych doświadczeń – lotniczych, nad ropowicą gruźlicą tyfusem plamistym, żółtaczką doświadczeń chirurgicznych, punkcji wątroby, czy badań nad krystalizacją lub krzepnięciem krwi.

Badania przeprowadzane były nie tylko przez lekarzy, którzy w służbie SS widzieli szansę ułatwionej kariery zawodowej, jak np. dr S. Racher. W laboratorium pracowali też naukowcy o znanych już przed wojną nazwiskach, jak profesorowie: G. Weltz, E. Hippke i wymieniony już przeze mnie C. Schilling. Doświadczenia te, przeprowadzane z pogwałceniem wszelkich norm prawnych i etycznych, bez zamiaru chronienia życia, pochłonęły wiele bezbronnych ofiar. Oblicza się, że w Dachau poddano eksperymentom ponad 6 000 więźniów, z czego w obozie zmarło ponad 2 000 osób.

Pewnego dnia, a było to dokładnie 14 sierpnia 1942 roku, do rewiru wpadł urzędujący Lagerführer – Obersturmführer Franz Hofman. Poprzerzczał karty chorobowe. Tych więźniów, u których stwierdził pobyt w rewirze ponad miesiąc, rozkazał wypisać i odstawić na macierzysty blok. Następnego dnia otrzymałem wypis, przyznający mi 3 tygodnie lekkiej pracy na terenie obozu oraz stałą przepustkę do rewiru na wypadek nawrotu malarii, której pierwszym objawem miała być wysoka temperatura ciała i febra. Zaopatrzone w takie dokumenty wróciłem na mój blok nr 10 i pokazałem je blokowemu. Ten zaraz po przerwie obiadowej udał się ze mną do biura przydziału pracy. Tu dopisało mi szczęście, bo trafiłem na pisarza Arbeitsdienstu, Niemca Juliusza Schätzle, z którym w 1940 roku pracowałem w jednym komandzie (Kiesgrube – żwirownia). Juliusz bardzo się ucieszył ze spotkania, gdyż nie widzieliśmy się ponad rok i o tym, że byłem na doświadczeniach malarycznych nie wiedział.

Od następnego dnia miałem już przydział do pracy w obieralni ziemniaków i warzyw dla kuchni więźniarskiej. I tego samego dnia, zaraz po apelu wieczornym, zostałem przeniesiony na blok 9, gdzie przebywali więźniowie pracujący w kuchni. Otrzymałem przydział na sztabę drugą, a łóżko bezpośrednio nad pryczą Gustawa Morcinka. Przedtem nie wiedziałem, że nasz znany pisarz też został aresztowany i osadzony w Dachau. Praca z Morcinkiem w jarzyniaku (on na pierwszej ławce, a ja jako początkujący na końcu ławy trzeciej), a jeszcze bardziej spanie nad nim, ośmieliło mnie nieco. Któregoś wieczoru po położeniu się do łóżka spuściłem głowę i nachylając się do Morcinka powiedziałem, że tuż przed moim aresztowaniem czytałem jego książkę „Maszerować”, traktującą o zajęciu Zaolzia przez Polskę. Zdumiałem się bardzo usłyszawszy odpowiedź: „Jo żadnych książek nie pisał, bierzesz mnie za kogo innego”. Przeprosiłem go za pomyłkę i już od Morcinka się odwróciłem.

Któregoś wieczoru na Lagerstrasse spotkałem kroczącego samotnie Pawła. Podszedłem do niego i po przywitaniu zapytałem wprost, czy może mi powiedzieć, jak nazywa się jego przyjaciel, z którym często spaceruje. Odpowiedział, że to właśnie jest znany pisarz Gustaw Morcinek. Opowiedziałem mu moją rozmowę z Morcinkiem, na co Paweł powiedział: „Sylwku, nie dziw się, przecież pisał nieprzychylnie o Niemcach i nie chce, by go tu rozpoznano”. Zrozumiałem i już więcej do bezpośredniej rozmowy z Morcinkiem na ten temat nie doszło.

Mniej więcej w tym okresie przybyli do obozu pierwsi jeńcy wojenni – czerwonoarmiejcy. Było ich około trzech tysięcy. Ich przyjęcie było oczekiwane już od dłuższego czasu. Jesienią 1941 roku specjalnie dla nich wydzielono z części obozu cztery baraki i umieszczono napis: „Kriegsgefangenenlager”. Były to bloki nr 19,21,23,25, które długo stały puste. Później zapełniono je więźniami – inwalidami przeniesionymi z innych obozów (Neuengamme, Mauthausen, Buchenwald). Jeszcze później dowiedzieliśmy się, że rosyjscy jeńcy wojenni byli likwidowani na strzelnicy SS w Hebertshausen, gdzie doprowadzano ich wprost z pociągów. Opróżnione baraki obozowe daremnie na nich czekały. W ciągu kilku tygodni rozstrzelano około sześciu tysięcy ludzi.

Więźniowie rosyjscy, którzy przybyli do Dachau wiosną 1942 roku byli przeważnie młodzi, niemal chłopcy w moim wieku. Ubrano ich w najgorsze pasiaki i przez okres kwarantanny byli zupełnie izolowani od reszty obozu.

W połowie sierpnia 1942 roku nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta obozu – Sturmabführera Alexa Piotrowskiego zastąpił Obersturmbanführer Martin Weiss, który wcześniej był komendantem w KL-Neuengamme. Według słów kolegów, którzy przyjechali stamtąd do Dachau jako inwalidzi, był on bardzo złym człowiekiem. Pierwszym jego zarządzeniem było wprowadzenie specjalnego znakowania głów więźniów narodowości nieniemieckiej. Strzyżono wzdłuż całej głowy pas szerokości maszynki do włosów (około czterech centymetrów). Z głowami a'la „lagerstrasse” chodziliśmy krótko. Po tym okresie znakowanie ograniczono do więźniów rosyjskich. Pozostali byli strzyżeni krótko, co kilka tygodni. Włosy były teraz zbierane i fryzjerzy blokowi odnosili je na wyznaczone miejsce zbiórki.

Jak wspominałem, po wyjściu z rewiru otrzymałem pracę w jarzynieaku. Po kilkunastu dniach, w ciągu których opanowałem już biegle umiejętność posługiwania się nożem-obieraczem (i robię to do dziś), kapo przeniósł mnie do drugiej ławy. Obok mnie siedział łodzianin z mojego transportu – jeszcze młodszy ode mnie, do którego kapo zwracał się „Bubi”. Był sympatycznym kolegą i bardzo wychwalał kapo. Długo jednak z nim nie siedziałem, gdyż awansował na pierwszą ławę. Tam siedzieli najlepsi obieracze kartofli. Wkrótce zrozumiałem po co „Bubi” tak często jest wzywany przez kapo do piwnicy. Przestałem mu zazdrościć dodatkowych porcji jedzenia. Siedziałem teraz obok Ryśka Muszyńskiego, z którym razem byłem na malarii. Od tej pory staliśmy się przyjaciółmi. Przeżyliśmy obóz i przyjaźń nasza trwa nadal, dla naszych dzieci jesteśmy „wujkami”.

Pod koniec września, na krótko przed przerwą obiadową wpadł do kartoflami Arbeitsdienstführer, SS Oberscharführer Meier w asyście kilku więźniów z biura przydziału pracy. Kapo, z miną bardziej ponurą niż zwykle, zarządził zbiórkę komanda przed kuchnią. Meier przechodził wolno przed każdym szeregiem i wskazywał numery więźniów. Notował je mój znajomy Niemiec – J. Schatzle. Spytałem go, czy jest to Aussenkommando czy transport do innego obozu. Julian odpowiedział: „Transport nach Buchenwald”.

Arbeitsdienstführer polecał z reguły zapisywać wszystkich młodych więźniów. Obok mnie z jednej strony stał Rysiek, z drugiej Gustaw Morcinek. Esesman otaksował go jednym spojrzeniem i kazał zapisać. Morcinek pięknym językiem niemieckim powiedział, że w czasie wojny 1915 roku odniósł kontuzję i pokazał okaleczenia na nodze i ręce. Meier kiwnął głową – „Ist gut” – i kazał Juliuszowi jego numer skreślić. Po kilku minutach było już po wszystkim.

Na transport zapisano około połowy naszego komanda obieraczy, w tym obu „pupilów” kapo. Przykazano nam, aby po przerwie obiadowej wszyscy zapisani ustawili się w wyznaczonym miejscu. Obaj z Ryśkiem bardzo przeżyliśmy fakt zapisania nas na transport. Umówiliśmy się, że nie staniemy na miejscu zbiórki. I tak zrobiliśmy. Ale takich jak my – jak się później okazało – było więcej. Oczywiście do pracy w kartoflami nie mogliśmy wrócić. Na nasze wakuujące miejsca zapisano już innych więźniów. Całą grupę, 500 więźniów, od razu odizolowano od reszty obozu i następnego dnia transport odszedł do Buchenwaldu. Byliśmy uratowani – tak nam się zdawało. Transport odszedł w piątek, a w niedzielę na porannym apelu zostają wywołane numery tych więźniów, którzy samowolnie nie stawili się na miejsce zbiórki. Zebrało się nas ponad 20. Zdziwiłem się ujrawszy wśród nas Gustawa Morcinka i jeszcze kilku starszych kolegów, o których wiedziałem, że nie zostali zapisani na transport. Nie widziałem natomiast obu pupili kapo. Sądziłem, że ich wyreklamował. Zaprowadzono nas do baraku. Po krótkiej chwili rozległy się szybkie kroki i wpadli: Rapportführer Trenkle, Arbeitsdienstführer Meier i jeszcze jeden esesman, którego nie znałem, a także kapo Arbeitsdienstu Brenner. Esesmani byli wściekli, co uwidaczniało się na ich twarzach. Brenner powiedział: „Ich sehe schwarz für euch” („Waszą przyszłość widzę w czarnych kolorach”). Tym stwierdzeniem napędził nam strachu. Z niepokojem czekałem co dalej nastąpi. Rapportführer Trenkle, zwany przez więźniów „Indianinem” z powodu czerwonego zabarwienia twarzy, był czerwieńszy niż zwykle. Bez żadnych wstępów rozpoczął przesłuchanie, pytając każdego po kolei, czy uciekł z placu apelowego i dlaczego nie stawił się na miejscu zbiórki. Nie wypierałem się tego. Powiedziałem, że tu, w Dachau, jestem już 28 miesięcy, że mam tu dużo kolegów ze szkoły i wielu przyjaciół wśród Niemców, a od inwalidów przybyłych do Dachau z innych obozów wiedzieliśmy, że tam jest gorzej. Po prostu bałem się tam znaleźć. Esesman przez chwilę piorunował mnie wzrokiem, potem zmełł przekleństwo w zębach, schował rewolwer i zwrócił się do następnego, którym był G. Morcinek. Morcinek ponownie pokazał kontuzje, których nabawił się w Weltkrieg i powiedział, że pan Oberscharführer Meier sam polecił go skreślić z listy. Arbeitsdienstführer wtrącił, że rzeczywiście tak było i nie wie dlaczego ten więzień znalazł się ponownie na liście. Wtedy wyszło na jaw, że kapo był pederastą, a ponadto wyludzał pieniądze od niektórych obieraczy. Wydał go jeden z nich – A. M., którego kapo Schmittknecht wpisał na listę transportu, razem z G. Morcinkiem, wycofując swoich dwóch pupilów. Schmittknecht, nie bez racji sądził, że zapisani na transport nie będą mieli czasu ani ochoty na dochodzenie mocno wątpliwej sprawiedliwości u władz obozowych. Każdy, kto dłużej był w obozie wiedział, czym groziło zadzieranie z kapami

i odwoływanie się do esesmanów. Schmittknecht nie wziął jednak pod uwagę, że zdesperowanemu więźniowi jest czasem wszystko jedno. Chyba w takim nastroju był nasz kolega, który zgłosił się do komendanta obozu i opowiedział całą historię. Długo pracował i w pewnym sensie przywykł do kartoflami, wiedząc o zasadniczej różnicy między lekką pracą obieracza warzyw pod dachem i z dodatkowym wyżywieniem, a ciężką pracą więźnia pod gołym niebem w innym komandach.

Po latach dowiedziałem się, że zeznania kolegi A.M. były tak obciążające, że Schmittknecht stracił żółtą opaskę kapo i został wysłany karnie do innego obozu. Jaki był dalszy los jego „panienek” – nie wiem do dziś.

Wracając do przebiegu badań prowadzonych przez Rapportfuhrera Trenkla – wszystkich starszych wiekiem więźniów skreślił z listy, a nam młodym zapowiedział, że zostaniemy wysłani do najgorszego obozu. Dodał przy tym, żebyśmy się nie wazyli stawać do meldunków lekarskich, bo i z rewiru nas wyciągnie, przeklętych bandytów. Obietnicy dotrzymał, bo mimo rzeczywistej anginy Olka Zabłockiego Trenkle nie ustąpił i osobiście przyszedł do rewiru, by dopilnować zabrania chorego. W cztery dni później nowy transport 1000 więźniów, w tym 18 Polaków (między innymi Rysio i ja), wysłany został do Sachsenhausen.

## Obóz koncentracyjny w Sachsenhausen k/Berlina

Nasz transport z Dachau przybył do Sachsenhausen 26 września 1942 roku. Była to sobota. Załatwienie wszelkich formalności przyjęcia do ewidencji obozowej trwało cały dzień. Otrzymałem nr 48638 i przydzielono do bloku 65 – izba A. Już w pierwszych chwilach pobytu w Sachsenhausen dała się odczuć różnica in minus w porównaniu z Dachau. Przede wszystkim organizacja administracji obozowej była bardzo nieudolna. Jako dowód niech posłuży fakt, że aby przyjąć 1000 nowych więźniów z innego obozu potrzeba było 18 godzin. W Dachau na przyjęcie 1795 cywilów w poczet więźniów wystarczyło tylko 7 godzin, łącznie z kąpielą, stryżeniem, dezynsekcją, spisaniem personaliów i rzeczy cywilnych, co już w Sachsenhausen nie było potrzebne. Przez cały dzień nie otrzymaliśmy żadnego posiłku, nawet nic do picia. Blokowemu bloku 65 zameldowaliśmy się z Ryskiem Muszyńskim dopiero po godzinie 21.00.

Pierwsze wrażenie ze sposobu przyjęcia nas, zarówno przez blokowego, jak i pozostałych więźniów narodowości polskiej, było okropne. Gdyby pozwolono mi nawet pieszo wrócić do Dachau, zrobiłbym to natychmiast. Zrozumiałem to po kilku dniach, gdy przekonałem się, że administrację obozową sprawowali Niemcy – więźniowie kryminalni (trójkąt zielony), natomiast w Dachau – polityczni (trójkąt czerwony). Nie dziwiło nas, że w Sachsenhausen panowała korupcja na każdym kroku. Bez okupienia się i bez lizusostwa nie otrzymało się przydziału do lepszego komanda.

Już w pierwszym dniu pobytu przekonaliśmy się, jakie panowało tu niekoleżeństwo. Właśnie w tym dniu (niedziela) na nasz blok przypadła kolej pisania listów. Ponieważ przy wyjeździe z Dachau zabrano nam wszystko poza chusteczką do nosa, nie mieliśmy przy sobie ani ołówka, ani jakiegokolwiek skrawka papieru, a tym bardziej listu z nadrukiem obozowym. Zwróciliśmy się do kilku starszych więźniów z prośbą o pożyczenie blankietu listowego i znaczka pocztowego. Otrzymaliśmy od każdego odpowiedź: „Daj ćwiartkę chleba, to ci dam”. Nie mogliśmy tego uczynić, bo chleba nie mieliśmy. Podobne zachowanie w Dachau było nie do pomyślenia. W tej sytuacji zebrałem się na odwagę, poszedłem do blokowego (nazwiska tego Niemca dziś nie pamiętam) i opowiedziałem mu całe zajście. Ten wyszedł na salę i zawołał: „Ich brauche zwei Briefe und zwei Briefmarken” („Potrzebuję dwa listy i dwa znaczki pocztowe”). Ze wszystkich stron skwapliwie podawano listy i znaczki. Zabraliśmy – ja i Rysiek – po jednym komplecie, a resztę zostawiliśmy na stole. Blokowy poszedł do swego boksu, a my usiedliśmy do pisania listów, aby jak najprędzej zawiadomić nasze rodziny o zmianie miejsca pobytu i adresu. Wówczas nasi nowi koledzy mieli do nas pretensje o to, że poszliśmy z tym do blokowego. A przecież nie mieliśmy innego wyjścia.

Przez pierwsze kilkanaście dni w Sachsenhausen nie otrzymaliśmy żadnego przydziału do pracy. Wszystkich „nieprzydzielonych” wyprowadzono na plac apelowy. Tu wałęsaliśmy się, jak bydło na pastwisku bez pastucha. Spotkałem tu znajomego Niemca z Dachau, znanego alpinistę Michaela Golacknera, który pracując w München jako specjalista w stolarstwie podpadł i został karnie przesłany do Sachsenhausen. Przybył tu kilka dni przed nami. Mówił, że sam nie ma jeszcze przydziału pracy, ale jako wybitny fachowiec nie będzie miał trudności. Musi tylko nawiązać bliższe kontakty z administracją obozową. Wziął nasze numery i numery bloków, obiecując pomoc. Więcej już go nie spotkałem, nie dlatego, że bym ja nie chciał lub Michael, ale akurat w pierwszych dniach października organizowano jakieś duże komando wyjazdowe. Rzecz jasna, że wszyscy „starzy więźniowie” mając swoje kontakty, przyjaciel i stosunkowo dobre komando, nie chcieli tego utracić. Rozumiałem to doskonale, bo pod tym względem w Dachau nie było inaczej. Sam robiłem wszystko, aby stamtąd nie wyjechać, ale mi się to nie udało. Do tego komanda wytypowano nas – więźniów przybyłych z Dachau. Utworzono wielkie



komando pod nazwą SS-Baubrigade. Było nas 1000 – Niemców, Polaków, Czechów, Rosjan, Ukraińców.

To komando musiało mieć jakieś duże znaczenie, bo otrzymaliśmy całkiem nowy ekwipunek – nowe pasiaki zimowe, nowe płaszcze, peleryny przeciwdeszczowe, buty skórzane, skarpety, czapki, nauszniki, rękawiczki trójpalcowe i chlebaki z manierką. Przez kilka dni chodziliśmy do pracy w lesie, gdzie podzielono nas na grupy robocze i przydzielono do poszczególnych Vorarbeiterów (tak nazywano w Sachsenhausen kapów – tu dla odmiany nosili oni czarne opaski).

W połowie października – o dziwo – pociągiem osobowym, a nie w wagonie towarowym, przejechaliśmy do Dusseldorfu. Tu zostaliśmy rozdzieleni na dwie grupy, każda po 500 więźniów. Jedna została w Dusseldorfie, a druga udała się do Duisburga. Rysiek i ja znaleźliśmy się w tej pierwszej grupie. Z dworca zostaliśmy przewiezieni samochodami ciężarowymi do zdewastowanego obozu na przedmieściach Dusseldorfu. W obozie były cztery baraki ustawione w czworobok, okalające plac o wymiarach około 80 na 80 metrów. Pośrodku placu stał barak – kuchnia oraz koryta do mycia pod zimną wodą. Nieopodal znajdowała się latryna. Podział baraków był następujący: jeden zajmowali esesmani, drugi podzielono na kancelarię komendantury obozu (komendantem był SS-Obersurmführer Klebeck) oraz kancelarię obozową (Lagerschreibstube). Część baraku przeznaczono na rewir (izba chorych na 20 łóżek i pokój dla lekarza esesmana oraz pomieszczenie dla Rewircapo), a w drugiej urządzono również karcer (bunkier). Trzeci barak przeznaczono w 1/3 na magazyn odzieżowy dla SS i więźniów, w 1/3 zamieszkali wszyscy Niemcy funkcyjni, a w trzeciej części – reszta Niemców. Dla pozostałych, około 380 więźniów, przeznaczono ostatni, czwarty barak. Mógł on pomieścić najwyżej, w bardzo wielkim zatłoczeniu, 200 ludzi. Reszta musiała koczować pod gołym niebem.

Stan taki trwał do połowy grudnia 1942 roku, to jest do czasu postawienia pięciu nowych baraków. Stawianie ich odbywało się po powrocie z pracy. Największą korzyść odczuli chorzy, ponieważ na rewir przeznaczono jeden barak na 70 łóżek, dość dobrze wyposażony. Chorzy esesmani byli umieszczani w szpitalach miejskich. Rewirem kierował lekarz z powołania. Był to Polak z Mazur, działacz Związku Polaków w Niemczech Józef Bom, aresztowany w 1938 roku za utrwalanie polskości wśród Mazurów i Warmiaków. Dziś mieszka w Berlinie i nadal jest aktywnym członkiem „Rodła”. Nadzór nad rewirem sprawował SS-Oberscharführer Krelman, rzeźnik z zawodu, wróg Rosjan.

Mimo znacznej poprawy warunków mieszkalnych, ogólne warunki bytowania nie polepszyły się. Praca była ciężka i niebezpieczna – przy odgruzowywaniu miasta. Dowożono nas ciężarówkami, a po mieście jeździliśmy tramwajami. Część więźniów była dowożona ciężarówkami do Koln. Głównym miejscem rozdziału komand do pracy w mieście była hala targowa (Kölnmesse).

Wyżywienie było bardzo złe. W zasadzie otrzymywaliśmy je raz dziennie. Wynikało to stąd, że do pracy wyjeżdżaliśmy o godzinie 7.00, a wracaliśmy na apel o godzinie 18.00. Wtedy to, po apelu wieczornym (jeśli wszystko się zgadzało, albo nie było karnych ćwiczeń), otrzymywaliśmy gorący posiłek (1 litr zupy) i 400 g chleba z dodatkiem 3 g margaryny, 5 g jakiejś wędliny lub 5 g sera topionego, albo 15 g marmolady. Wiadomo, że obfitość tych porcji nie pozwalała głodnemu na pozostawienie sobie chleba na dzień następny, a ponadto obawa przed kradzieżą była powodem natychmiastowej konsumpcji.

Rano o 6.00 otrzymywaliśmy czarną zbożową kawę, a dwa razy w tygodniu pół litra knorrsuppe. Tak „nasyceń” udawaliśmy się do niewolniczej pracy. O tym, że warunki bytowe były bardzo ciężkie, może świadczyć fakt, że w ciągu czterech miesięcy pobytu w Dusseldorfie zmarło z wycieńczenia ponad 100 więźniów.

W miejscu pracy byliśmy pilnowani przez SS i policję. Przy odgruzowywaniu domów wydobywaliśmy nieraz cenne przedmioty – srebro, złoto, biżuterię, często całe sklepy jubilerskie, magazyny z towarami tekstylnymi, porcelaną, wyroby spirytusowe itp. Wszystko to musieliśmy oddawać do wyznaczonych punktów zbiórki, nadzorowanych przez SS. Esesmani sami dobrze się przy tym obławiali i robili własne fortuny. Wiem, że często wysyłali paczki do swoich rodzin. Osobiście kilkakrotnie odnosiłem takie pakunki na pocztę. Niekiedy więźniowie znajdowali chleb lub inną żywność, którą pod wielkim strachem natychmiast zjadali. U wielu zdarzały się z tego powodu różne przypadłości żołądkowe.

Ludność cywilna odnosiła się do nas na ogół poprawnie. I chociaż przy każdej okazji esesmani określali nas jako bandytów i morderców oraz najcięższego rodzaju zbrodniarzy, których trzeba pilnować, aby nie udało się im uciec, ludność jednak, widząc nasz z reguły młody wiek, nie bardzo w to wierzyła. Przy każdej sposobności wypytywano nas, dlaczego jedni mają trójkąty czerwone, drudzy zielone, a jeszcze inni czarne lub fioletowe. Jeżeli się tylko dało – wyjaśnialiśmy. Przy pomocy ludności cywilnej i tolerancji policji wielu więźniom Niemcom udawało się nawiązać kontakty z rodzinami. Władze obozowe SS szybko zorientowały się o co chodzi. Domyślając się, że więźniowie utrzymują jakieś kontakty z ludnością cywilną, bo dokonują między sobą częstych zmian w grupach roboczych – urządziły zasadzkę. W styczniu 1943 roku doszło z tego powodu do tragedii. Dwóch Niemców zostało przyłapanych „in flagranti” z kobietami w jakimś mieszkaniu. Podobno były to siostry tych nieszczęśli-

ków. Więźniowie ci piastowali funkcje vorarbeiterów i byli bardzo wyróżniani przez Lagerführera SS-Oberscharführera Rolanda Puhra. Puhr, dowiedziawszy się o tym fakcie, wskazał im informatora, którym okazał się inny więzień – Niemiec. Nakazał im go powiesić, a ich samych w tym dniu, wieczorem po capstrzyku, osobiście podprowadził pod druty i tu zastrzelił. Fakt ten widziałem na własne oczy, bo w tym czasie byłem w pobliskiej latrynie. Rzecz jasna o tym co widziałem nie mówiłem nikomu z obawy przed takim samym losem.

Nazajutrz, podczas apelu porannego okazało się, że stan liczbowy więźniów nie zgadza się i Lagerführer zarządził przeszukanie obozu. Po kilku minutach odkryto zwłoki tuż przed drutami. Ogłoszono, że ci dwaj Niemcy zostali zastrzeleni przy próbie ucieczki. Dziwna to była próba ucieczki, jeśli do drutów było jeszcze ponad pięć metrów. SS-Roternführer Marchal „za dobrą służbę na posterunku” otrzymał 5 dni urlopu. Fakt ten wpłynął bardzo deprymująco na pozostałych więźniów, zwłaszcza Niemców. Przy nawiązywaniu dalszych kontaktów z ludnością cywilną byli już ostrożni, a wielu zaniechało w ogóle takich prób. Tym bardziej, że w drugiej połowie lutego 1943 roku cały nasz obóz przygotowywał się do ewakuacji. Do pracy wychodziliśmy w małych grupach i bez więźniów narodowości niemieckiej. W dniu 28 lutego 1943 roku nastąpiło złączenie obu grup – z Dusseldorfu i Duisburga. Obie, już jako I SS-Baubrigade, zostały załadowane do pociągu towarowego. W warunkach odmiennych od tych, w jakich w październiku 1942 roku przybyliśmy do Dusseldorfu, ruszyliśmy w nieznaną. Nie mieliśmy pojęcia dokąd jedziemy. W szparach przez zabite deskami i drutem kolczastym okna udawało się niekiedy, w czasie postoju na stacjach, odczytać nazwy miejscowości: Antwerpen (to już Belgia), Lille, Amiens, Rouen, St. Mało (to już Francja). Tu po dwóch dniach zostaliśmy załadowani na statek i 5 marca 1943 roku wylądowaliśmy na wyspie Alderney w Kanale La Manche.

## **Alderney – filia obozu koncentracyjnego Hamburg-Neuengamme**

Powszechnie wiadomo o istnieniu obozów koncentracyjnych i ich filii na terenie III Rzeszy oraz niektórych okupowanych przez Niemcy krajów, jak Polska (Auschwitz-Birkenau, Majdanek). Jednak mało kto wie, że hitlerowcy założyli samodzielną filię obozu koncentracyjnego Hamburg-Neuengamme na wyspie Alderney. Jest to jedna z czterech Wysp Normandzkich, stanowiących terytorium Wielkiej Brytanii. Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 roku zostały one bez walki zajęte przez wojska niemieckie. Okupowane były przez III Rzeszę do zakończenia wojny – 9 maja 1945 roku. Tym samym Hitler przez 5 lat zajmował część terytorium Wielkiej Brytanii.

Na wyspie Alderney w lutym 1943 roku został utworzony obóz koncentracyjny pod nazwą „SS-Lager Sylt”. W marcu 1943 roku zostaliśmy przekazani pod administrację KL-Neuengamme. Otrzymaliśmy nowe numery. Mój numer: 16846, Ryśka: 16850.

Z pozostałych około 50 Polaków zapamiętałem nazwiska: Marian Filipecki z Warszawy, Jan Baczewski z Warszawy, Stanisław Karlikowski z Białegostoku, Władysław Struck z Pucka, Stanisław Stachowiak z Bydgoszczy, Zygmunt Wajs z Częstochowy, Edward Mroziński z Zawiercia, Mieczysław Ptak z Krakowa, Ryszard Klimecki, Władysław Lubecki z Piastowa. Innych nie pamiętam.

Komendantem SS-Lager Sylt (I SS-Baubrigade) był SS-Hauptsturmführer List, który mało interesował się więźniami, a jeśli już, to tylko w poważnych sprawach, jak ucieczka (mimo beznadziejnych warunków więźniowie podejmowali jednak takie próby). Jego zastępcą był SS-Obersturmführer Klebeck. Do końca grudnia 1943 roku funkcję Lagerführera pełnił zniechęcony przez nas zniemczony Czech sudecki SS-Oberscharführer Roland Puhr, ten sam, który w Dusseldorfie mordował więźniów. W styczniu 1944 roku wszystkie najważniejsze stanowiska kierownicze SS zostały zmienione. List, Klebeck, Puhr i inni zostali odwołani. Komendantem obozu został przybyły z Rzeszy SS-Obersturmführer Braun. Lagerführerem mianowano dotychczasowego szefa kompanii wartowniczej SS-Haupt-scharführera Högelowa. Szefem wyżywienia został Walter Hartwig, SS-Unterscharführer (Volks-deutsch z Brodnicy), znający dobrze język polski, z czym się bardzo krył, a przez co wielu więźniów Polaków i Rosjan bardzo ucierpiało.

Załoga SS liczyła 80 ludzi. Po styczniowej wymianie było wśród nich dużo Czechów, Chorwatów, Ukraińców, Serbów i jeden Polak – Marian Tomasikiewicz z Tarnowa (we wrześniu 1944 roku na terenie Belgii uciekł wraz z dwoma więźniami). Raportführerem przez cały czas istnienia I SS-Baubrigade był Georg Rebs, SS-Unterscharführer (Alzatzczyk), również znający język polski, gdyż przed wojną pracował w Łodzi jako przedstawiciel jednej z niemieckich firm branży tekstylnej. Człowiek o bardzo chwiejnym charakterze, raz miły, uprzejmy i dobry, to znów porywczy sadysta.

## Życie i praca na Alderney

Wysepka niewielka – około 9 kilometrów długa i 3 kilometry szeroka. Uboga w roślinność, podłoże przeważnie kamieniste. Już po opuszczeniu statku, z daleka od portu wylaniały się domy i wieża kościelna. Po godzinie marszu ujrzeliśmy odratowane baraki i na bramie wejściowej napis „SS-Lager Sylt”. I tak jak w Dusseldorfie były tu tylko cztery baraki, z tym że dwa dodatkowe poza obozem zajęła kompania wartownicza SS. Na terenie obozowym znajdował się jeszcze jeden barak, w którym urządzono kuchnię i magazyn spożywczy. Drugą jego połowę przeznaczono na magazyn odzieżowy.

Po jako takim rozlokowaniu nas w obozie, zaczęła się normalna, a raczej anormalna praca. Z wielką wprawą, zdobytą w Dusseldorfie, władze SS zdecydowały o rozbudowie obozu. Porządek dnia przedstawiał się następująco:

- 5.30 – pobudka, mycie jak w Dusseldorfie, pod kranami w korytach, na placu pod gołym niebem; fasowanie zupy Knorr,
- 6.00 – apel poranny,
- 6.30 – wymarsz komand roboczych,
- 7.00 – rozpoczęcie prac w wyznaczonych miejscach (kamieniołom, wykopy tunelu pod górotworem, budowa dróg, kopanie rowów i mała grupa więźniów do prac na terenie obozu). Prawie cała wyspa była poryta rowami, w których układano kable – było to główne zadanie. Gdy skończyły się roboty przy kablu, co trwało parę miesięcy, przystąpiono do budowy bunkrów i stanowisk pod ciężkie działa artyleryjskie i rakiety,
- 12.00-13.00 – przerwa na posiłek. Jedzenie dowożono samochodem do miejsca pracy. Grupa dowożących stanowiła najlepsze komando robocze – dwóch więźniów i jeden kierowca z NSKK oraz konwojent z SS,
- 18.00 – koniec pracy i powrót do obozu,
- 18.30 – apel wieczorny (do czasu zakończenia prac przy rozbudowie obozu trwał bardzo krótko),
- 19.00 – kolacja (rozdział dziennych porcji chleba i ewentualnych dodatków),
- 19.30-22.00 – mycie i przygotowanie do snu,
- 22.00 – capstrzyk.

Rozbudowa obozu trwała kilka miesięcy. W zasadzie wszystkie baraki były stawiane w zagłębieniu do 1,5 m, co miało je chronić przed silnymi wiatrami wiejącymi stale na wyspie.

Na Alderney wyciągnęli z nas ostatnie siły. Po 16 miesiącach pobytu z 1000 więźniów zostało nas zaledwie 550. Podkreślali wciąż, że tu na Alderney wykończą nas, a jeśli nie, to po powrocie do lagru w Niemczech. Wielka śmiertelność wśród więźniów była powodem wymiany kierownictwa SS. Nowe władze, chcąc zataić przed swoimi mocodawcami w KL-Neuengamme tak wielką śmiertelność, wpadły na „genialny pomysł”. Po śmierci więźniów uzupełniano stan liczbowy Rosjanami i Ukraińcami z cywilnego lagru, nadając im takie same numery. Od tej pory śmiertelność oficjalnie nie przekraczała 2-3 więźniów w miesiącu.

Po zakończeniu prac przy rozbudowie obozu i postawieniu w uroczym miejscu nad brzegiem oceanu pięknego domu w stylu góralskim (tyrolskim) dla komendantów, życie w obozie po apelu wieczornym trochę się uspokoiło, nie licząc dość częstych ćwiczeń karnych za domniemane przewinienia. A o to umiał się postarać nasz Rapportführer G. Rebs.

Bardzo często po kolacji zbieraliśmy się przy stole w baraku nr 4, gdzie schodzili się Polacy z innych bloków i długo w noc gawędziliśmy przy szumie morza. Marzyliśmy o odbiciu nas przez Anglików, bo to w prostej linii zaledwie 80 kilometrów od Wielkiej Brytanii. Niestety, marzenia nigdy się nie spełniły, nawet po inwazji.

W nocy z 5 na 6 czerwca 1944 roku cały obóz, wraz z członkami SS z kompanii wartowniczej, został obudzony przez głośny szum. W pierwszej chwili nikt nie wiedział co się dzieje, nie zdawaliśmy sobie sprawy skąd pochodzi. Nad ranem, kiedy zaczęło się rozwidniać, widzieliśmy setki samolotów w eskadrach po 6, przelatujących nad wyspą w kierunku Francji i z powrotem. Trwało tak przez całą dobę. Artyleria przeciwlotnicza Luftwaffe – a było jej kilkanaście baterii na wyspie – milczała. Nam nie wolno było wychodzić z baraków, nawet do latryn. Esesmani przynieśli nam kible, takie jakie były używane w pociągu w czasie transportu. Stan był sprawdzany przez blokowych wewnątrz budynków i przekazywany Rapportführerowi w drzwiach. W żaden sposób nie mogliśmy nawiązać kontaktu z Helmutem – zaprzyjaźnionym więźniem Niemcem, który był pisarzem w kancelarii obozowej i prowadził regularnie nasłuch audycji radiowych BBC. Sporządzał krótkie komunikaty, które z kolei zaufani ludzie rozdzielali wśród pozostałych dopuszczonych do tych wiadomości.

Następnego dnia, 7 czerwca, tylko więźniowie funkcyjni i zatrudnieni w kuchni wyszli do pracy. To już było coś! Helmut przekazał wiadomość, że alianci wylądowali w Normandii, w okolicach Caen. Skrzydła urosły nam u ramion. Byliśmy już w 100 procentach pewni naszego wyzwolenia. Ale na

wyspie nic się nie działo. Do prac poza obóz już nie wychodziliśmy. Esesmani spuścili nosy na kwintę, byli jednak nadal zamknięci wobec nas.

Zaczęła się praca przy likwidacji obozu. Zbijaliśmy skrzynie, a zaufani więźniowie ładowali do nich cały osobisty dobytek kadry kierowniczej SS i to, co znajdowało się w ewidencji magazynowej. Polacy znający język niemiecki dokonywali spisów zawartości poszczególnych skrzyń. Brałem w tym udział. Nad prawidłowością spisów czuwał kapo magazynów – Niemiec z czarnym trójkątem Hans Poensgen i Lagerführer Otto Högelow. 20 czerwca 1944 roku byliśmy gotowi do ewakuacji. W duchu liczyliśmy na to, że nie dojdzie ona do skutku. Samoloty krążyły nadal nad wyspą, na horyzoncie widzieliśmy dziesiątki okrętów. A jednak!

23 czerwca podjeżdżają ciężarówki, na które ładujemy skrzynie według kolejnej numeracji. Zawartość skrzyń jest dokładnie opisana w pięciu egzemplarzach – 4 dla władz SS, 1 dla kapo Hansa. Samochody są teraz strzeżone przez SS. 24 czerwca o świcie samochody pod eskortą SS wyjeżdżają z obozu. O szarym zmierzchu my, więźniowie, również pod silną eskortą SS, maszerujemy w stronę portu. Po raz ostatni idziemy wąskimi ulicami miasteczka St. Anna. Opuszczamy je i jesteśmy w porcie. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno, a my leżąc na ziemi czekamy aż przyjdzie rozkaz, by załadować nas na statek. Nikt nawet się nie odzywa, każdy dusi w sercu żal i ból, że jeszcze nie nastąpiło wyzwolenie. Co nas jeszcze czeka?

Ale oto jest rozkaz – załadować! Statek nazywa się „Wilhelm Claus”. Normalnie przewozi węgiel i cement. Załadunek następuje przy lichych światłach reflektorów ciężarówek. Wchodzimy na statek gęsiego a esesmani skrupulatnie nas przeliczają. Stoimy ciasno słoczeni, wrzuceni jak worki na dno statku. Wreszcie późną nocą statek rusza. Kołysze się jak pijany, bo jest krótki. Rzuca nim jak piłką, a razem z nim i nami. Ludzie wymiotują, jęczą, załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne w spodnie. Po kilku godzinach milknie śruba okrętowa. Esesmani otwierają luki, spuszcza żelazne drabiny. Wychodzimy na pokład. Wita nas słońce, witają wysokie drzewa i rażący oczy blask, bijący z setek cieplarni. Przymykamy oczy nawykłe do ciemności, jaka panowała w lukach statku. Znajdujemy się na Guernesey – drugiej wyspie w Kanale La Manche. Jest niedziela. Tłumy ludzi patrzą na nas ciekawie – cóż to za „cudaki” w pasiakach.

Nie znać tu wojny. Na ulicach ruchem kierują „bobbys” – policjanci angielscy w swoich charakterystycznych kaskach. Widzimy strojne toalety kobiet, cudowną zieleń, tu i ówdzie palmy, ogrody, kwiaty, morze kwiatów. Gdzie rzucić okiem – pomidory i owoce. Domy, domki są urocze. Idziemy śliczną asfaltową aleją. Po jej brzegach rozwinięte drzewa, których konary tworzą zielony dach. Początkowo ludzie (Anglicy) patrzą na nas ciekawie, ale w miarę jak ten pochód ciągnie, gdy stąd i zowąd padły słowa, kim jesteśmy, widzimy w ich oczach współczucie, wzruszenie, a nawet uniesione w górę dwa palce w kształcie „V” – znak „VICTORIA”.

Wyprowadzono nas za miasto. Cały dzień leżymy na jakiejś polanie, wśród makiet pozorujących samoloty. Wokół druty kolczaste i w kilku miejscach osłonięte krzewami latryny. Wieczorem prowadzą nas do portu. Mają nas podobno transportować do Afryki. Po drodze mijamy tłumy spacerowiczów, którzy chyba już wiedzą kim jesteśmy. Wszyscy się do nas uśmiechają – mężczyźni, kobiety, dzieci. Pokazują nam wzniesiony w górę palec, a jeśli spojrzysz akurat esesman, palec opada w dół.

W porcie ładują nas na statek. I znów ta kilkugodzinna męka. Śruba okrętowa milknie. Jest jeszcze noc, gdy po kilku godzinach jesteśmy znowu w porcie Guernesey. Wróciliśmy, bo podobno ukazały się jakieś okręty czy samoloty angielskie i nie mogliśmy płynąć dalej. Rano wracamy na polanę. Anglicy są uradowani, uśmiechnięci, z okien i balkonów kiwają nam przychylnie rękami.

Wieczorem znów przemarsz do portu. I znów nic. Wracamy na polanę. Anglików ogarnia entuzjazm. Esesmani patrzą ponuro, są wściekli, ale wobec nas zachowują się poprawnie. I jeszcze jeden dzień trwa ten spacer tam i z powrotem. Jednak na czwarty dzień odpływamy. Żegnamy wyspę z żalem i ukrytą nadzieją – „a może wrócimy?”.

Nie wróciliśmy. Nad ranem, po bardzo uciążliwej nocy, śruba okrętowa milknie. Wylazimy z ładowni statku jak szczury. Ranek jest jakiś posępny. Widzimy potężne bloki domów, płytkie wody basenów portowych, kilka statków i wzgórze przypominające trochę Alderney. Wylądowaliśmy na trzeciej wyspie w kanale La Manche – Jersey, największej z Wysp Normandzkich.

Dwaj więźniowie – Niemcy (podobno byli tu już przed wojną) twierdzą, że to dopiero jest prawdziwa „wyspa kwiatów”. Mnie to nie przekonuje. Zdążyłem zakochać się w Guernesey, tym bardziej, że na Jersey nie widziałem nic oprócz murów opuszczonego więzienia, dokąd nas z portu doprowadzono. Wieczorem idziemy do portu, ale znów bez możliwości wypłynięcia. Próby te trwały trzy dni. Spaliśmy w byłym więzieniu. Przy pierwszym powrocie do „więzienia” zdarzył się incydent, który dla mnie mógł się skończyć groźnie. Kapo Hans Poensgen, odpowiedzialny za rozmieszczenie więźniów w poszczególnych pomieszczeniach, przeznaczył dla każdego bloku (według stanu z Alderney) odpowiednią ilość balonów słomy do spania. Mnie wyznaczył do przypilnowania właściwego rozdziału. Oczywiście dla Niemców po jednym balonie więcej. Ale to im nie wystarczało. Blokowi bloku niemieckiego, Hans Wojtas pochodzący z Gdańska, chciał zabrać jeszcze dwa balony przeznaczone dla

Rosjan. Tłumaczyłem, że to niemożliwe, bo mam taki a taki rozdzielnik. Niemiec odepchnął mnie i chciał zabrać balon. Rozzłościłem się, skoczyłem na niego, zaczęliśmy się bić. Ktoś jednak sprowadził kapo Poensgena, który nas rozdzielił. Hans Wojtas natomiast złożył karny meldunek na mnie do Lagerführera, że „Polak usiłował pobić Niemca”. Rano stanąłem do raportu karnego, a ponieważ nie potrzebowałem tłumacza, wyjaśniłem komendantowi całą sprawę. Kapo Poensgen potwierdził ten fakt. Komendant darował mi, ale przykazał, abym na przyszłość nie bił więźnia – Niemca. Podziękowałem, ale próbowałem zemścić się na Wojtasie. Powiedziałem, że Wojtas to żaden Niemiec, a „Wasserpole”. Komendant zapytał mnie, co to znaczy. Odpowiedziałem, że Hans Wojtas to Volksdeutsch z Gdańska. Komendant uśmiechnął się i grożąc mi palcem powiedział: „Uważaj na przyszłość”. I do roboty. Wojtas był na mnie wściekły i do końca pobytu w obozie unikałem go.

Na trzeci dzień odbijamy od mola. Była to ostanía tura, tym razem do St. Mała. Nikt nie wierzył, byśmy dopłynęli, tym bardziej, że na naszym statku znajdują się torpedy, które mają być przekazane okrętom wojennym w St. Mało. Esesmani, którzy z Polakami już się troszkę zżyli, a jeden szczególnie (Niemiec z Danii, który był wartownikiem w komandzie „Gärtnerei-Nützl” w czasie mego pobytu w Dachau) – też tak uważali. Ale nie ma innego wyjścia. Panuje przekonanie, że za parę dni będzie za późno, że wyspa zostanie zajęta. Stąd ten pośpiech.

Ten ostatni odcinek naszej podróży jest najgorszy. Łuk u góry został założony deskami, zaśrubowany na żelazne sztaby i przykryty brezentem. Esesmani powkładali kamizelki ratunkowe, przygotowani na najgorsze, a nas zamknęli w tej pływającej trumnie. Boją się buntu. Wsadzili z nami jeszcze jakichś cywilnych Anglików. Ścisk i zaduch okropny. Jakoś długo płyniemy. Płyniemy w konwoju około 15 statków zebranych z Alderney, Sark, Guernsey i Jersey. Płyną ranni z Cherbourg, którzy jakimś trafem dostali się na Jersey, a teraz przyłączono ich do naszego transportu. Jest już około godziny 9, gdy zawijamy do portu. Oczekuje nas około 100 sanitarnych karetek. Komendantura portu nie wierzyła również w nasze przybycie, a jeśli nawet, to jako rozbitków. Był to pierwszy transport od dnia inwazji, który dotarł bez szwanku do St. Mała.

## St. Mało i „wycieczka” przez Francję, Belgię, Turyngię i Austrię

Znowu jesteśmy w St. Mało, w którym przebywaliśmy w lutym 1943 roku. Kilka dni siedzimy w jakichś koszarach. Ze wszystkich stron słyszymy, że o wyjeździe nie ma mowy. Siedzą tu, w St. Mało, żołnierze z różnych rozbitych oddziałów – są marynarze bez okrętów, lotnicy; wszyscy czekają na możliwość wyjazdu. My jesteśmy uważnie pilnowani przez naszych esesmanów. Nie wolno nam poruszać się poza wyznaczonym terenem w obrębie koszar. Komendant Braun rozpaczliwie szuka wyjścia. Brak parowozu, brak wagonów. Po kilku dniach Braunowi udaje się uzyskać zgodę na wyjazd. Otrzymujemy do dyspozycji 20 wagonów. Musimy wszyscy się pomieścić, wraz z dobytkiem wywiezionym z Alderney. Ładują nas do wagonów po 50-60 więźniów. Mieszają nas teraz – Rosjan, Niemców, Ukraińców, Czechów. Tylko wyznawcy Jehowy otrzymali oddzielny wagon dla siebie – około 40 ludzi.

Ruszamy. Pociąg posuwa się wolno i ostrożnie. Przez otwarte, ale zakratowane okna widzimy ogromne zniszczenia torów, mostów. Parowozy leżą dziesiątkami, wagony potrzaskane, olbrzymie leje od bomb. Mijamy po drodze miasta: St. Nazaire, Nantes, Angers, Saumur, podziwiając piękny krajobraz Doliny Loary. Widzimy zamki nad Loarą. Zazdrościmy kąpiącym się w rzece, tym bardziej, że upał dawał się we znaki. Przed nocą wchodzi do każdego wagonu po dwóch esesmanów z psem. Pojadą razem z więźniami. Nadchodzi noc. Esesmani polecili nam podzielić się na dwie strony, usiąść jeden za drugim, a środek wagonu zostawić wolny. Sami usiedli po jednej stronie wagonu, przy lekko uchylonych drzwiach. Kibel na odchody ustawiono przy zaryglowanych drzwiach po drugiej stronie. Śpimy. Nad ranem (było jeszcze dość ciemno) jeden z esesmanów zauważył, że przez ścianę prześwieca. Oddaje kilka strzałów w powietrze. Po kilku minutach pociąg się zatrzymuje. Esesman bada ów prześwit. Okazuje się, że dziura, ale nie aż tak duża, by można było przez nią uciec. Stan więźniów się zgadza. Okazuje się jednak, że tej samej nocy w drugim wagonie przed nami kilku Ukraińców próbowało zbiec. Rzucili się na esesmanów i w biegu wypchnęli z pociągu, podryzując nożem gardło jednemu z nich. Czterech uciekło. Jeden wyskakując z wagonu rozbił głowę o żelazny słup. Znaleźli go nieżywego przy torach. W obu przypadkach znaleźli się podejrzani. Biją ich na zmianę przez cały dzień. Pod wieczór przestają bić i biorą do wagonu. Siedzą tam w przysiadzie do późnego wieczora. Wieczorem słyszymy, jak ich prowadzą, jak jęczą i proszą o litość. Potem padają strzały. Rano przez otwarte drzwi wagonu widzimy trupy trzech więźniów, leżące obok siebie na torze. Po postoju, trwającym ponad dobę, pociąg rusza. Zaprowadzono jeszcze większy rygor. Faworyzowani są tylko więźniowie – badacze Pisma Świętego, przeważnie Holendrzy i sporo Niemców. Tylko oni mogą wychodzić po wodę na postojach, oni fasują żywność, bo esesmani wierzą, że nie uciekną. Choć mają dużo okazji ku temu, jeszcze nie było wypadku, by któryś z nich tego próbował.

Jedziemy już drugi tydzień. Robimy czasami po parę kilometrów dziennie. Wciąż musimy naprawiać mosty, tory, przejazdy. Dojeżdżamy do Tours. Stacja kolejowa rozbita, mosty wiszą w powietrzu, szyny poskręcane, olbrzymie doły od bomb. Co jakiś czas wybuchają bomby zegarowe. Trzeba je odkopywać. Zapędzono nas do pracy. Miejsce, gdzie pracujemy, otoczone jest przez esesmanów i żołnierzy Wehrmachtu. Co kilka metrów ustawiono karabiny maszynowe na wysokich podstawach. Nieopodal nas pracują robotnicy francuscy, doprowadzeni przymusowo do naprawy węzła kolejowego. Jest druga połowa lipca, szalony upał. Zасыpujemy doły, nosimy szyny kolejowe, podkłady, usuwamy gruzy, szukamy bomb. Praca ciężka i jakby na wulkanie. Jednego dnia, po południu o kilkadziesiąt metrów ode mnie wybuchają bomby. Pracują tam Francuzi. Widzimy wyraźnie, jak na filmie, wylatujących w powietrze dwóch ludzi. Jeden z nich rozerwany na dwie połowy, drugi w całości – unoszą się w górę, a potem dziwnie wolno opadają. Niesamowity obraz. Wieczorem wracamy do wagonów, obładowani suszonymi kiełbasami (natrafiliśmy na wagon z żywnością).

Na dwa dni przed wyjazdem z Tours i my mieliśmy wypadek. Wybuchła bomba, raniąc około 12 więźniów. Zostali umieszczeni w oddzielnym wagonie. Wielu zazdrościło im tego, bo mieli lepsze warunki w dalszej podróży.

Od wielu dni jest spokój. Jedziemy powoli, jak turyści i spoza krat oglądamy Francję. Mineliśmy Dijon i Langres, zmierzamy w kierunku Toul. Nikt z nas nie przewidywał tragedii. Jest już po północy. Budzimy się na skutek ostrej strzelaniny. Pociąg się zatrzymuje. Jak się później okazuje, w wagonie nr 13 wyrżnięto dziurę w podłodze i po kocu uciekli wszyscy więźniowie, korzystając ze snu esesmanów. Ci, po przebudzeniu się, podnieśli alarm i zaczęli strzelać na oślep. Kule trafiły w sąsiedni wagon nr 14 i tu zostało zabitych 19 ludzi, a 11 ciężko rannych. Wartownicy tłumaczyli się, że przed chwilą rzuciła się na nich grupa więźniów, obaliła i uciekła w biegu, więc chcąc zaalarmować komendanturę transportu rozpoczęli strzelaninę. Kiedy tamci faktycznie uciekli – nie dowiedziałem się do dziś. Ucieczka musiała nastąpić dużo wcześniej, gdyż mimo usilnych poszukiwań nie złapano nikogo. Zabici zostali pogrzebani w dole przy torach za Langres w kierunku Toul. W godzinach popołudniowych pociąg ruszył dalej.

W Metz – 21 lipca 1944 roku – dowiaduję się, że wczoraj w Kętrzynie został przeprowadzony nieudany zamach na Hitlera. Jednocześnie okazuje się, że jednemu Ukraińcowi udało się wyskoczyć z transportu. Mimo kilkudziesięciogodzinnego przeszukiwania okolic toru prowadzonego przez esesmanów i żołnierzy, uciekiniera nie znaleziono.

Wieczorem pociąg ruszył dalej. Po kilku dniach dojeżdżamy do Belgii. Na stacji Kortemark dzielą nas na dwie grupy. Jedna zostaje na miejscu, druga jedzie dalej w kierunku Ostendy. Los pozostawia mnie w Kortemark, razem z moimi najbliższymi kolegami – Ryszardem Muszyńskim, Marianem Filipeckim, Bolesławem Gruszczyńskim i Henrykiem Baczewskim. Umieszczono nas w szkole na przedmieściu, tuż przy szosie.

I znowu: mur, druty kolczaste (tym razem bez prądu), okna zakratowane, dookoła budynku posterunki, przy bramie esesmani, po dwóch, z psami. Po paru dniach zaczęto kompletować komanda robocze. Ja i Rysiek zostaliśmy przydzieleni do pracy w magazynie odzieżowym w pralni. Z jednej strony to dobrze, bo praca pod dachem, ale bez możliwości wyjazdu na zewnątrz. Główne komanda miały pracować gdzieś poza miastem, w lasach, w promieniu kilkunastu kilometrów, podobno przy budowie wyrzutni V1. Komanda te były codziennie o godzinie 7.00 zabierane ciężarówkami z dziedzińca szkoły (budynek szkoły trudno nazwać obozem, raczej prowizorycznym więzieniem) i tu też więźniowie byli przywożeni po godzinie 18.00. Koledzy opowiadali, że gdy przejeżdżali przez okolice zamieszkałe, to ludność rzucała im chleb, owoce, papierosy. Ale nie zawsze esesmani pozwalali im to zatrzymać, lepiej było, gdy akurat mieli strażnika żołnierza z Wehrmachtu..

Opowiadał mi Stasiek Brzozowski, że pewnego razu młoda Belgijka rzuciła im paczkę, która nie dosięgła samochodu i spadła pod koła. Paczka została rozjechana. Mówił, że nie tyle było mu żal paczki, co dziewczyny, która z załamanymi rękami patrzyła za odjeżdżającym samochodem.

Po raz pierwszy w moim obozowym życiu zetknąłem się z pomocą Czerwonego Krzyża. Belgijski Czerwony Krzyż codziennie wieczorem po pracy i bezpośrednio do rąk więźniów dostarczał chleb, owoce, papierosy, tytoń, a tym którzy nie palili – słodycze (czekoladę, cukierki). Po kilku dniach liczba niepalących wzrosła. Ja z tym nie miałem problemu, ponieważ już od Dachau zarzuciłem palenie.

W Belgii spotykaliśmy zawsze życzliwy, serdeczny stosunek na każdym kroku, objawy przychylności i uśmiech. Najbardziej odczuwaliśmy to w każdą niedzielę, gdy mieszkańcy miasta – a zwłaszcza dziewczyny – spacerowali po szosie tuż przed budynkiem szkoły. Nie mieli żadnych kompleksów wobec esesmanów. Z Belgii zostały mi najmilsze wspomnienia.

Pewnego dnia przyprowadzono grupę rzekomych partyzantów belgijskich. Tego dnia nie wpuszczono samochodu BCK. Grupa ta składała się z kilkadziesiątu mężczyzn w różnym wieku. Powiązano ich drutem kolczastym i zamknięto w ubikacjach, które znajdowały się na środku dziedzińca szkolnego. Nam zabroniono opuszczać sale. Przez zakratowane okna obserwowaliśmy, jak się nad nimi znęcali obcy esesmani, a pomagali im nasi najbardziej sadystyczni, jak Robs, Pohl, Philips i Högelow. Co z nimi później zrobiono – nie wiem, gdyż już rano następnego dnia ich nie było. Wśród więźniów

potworzyły się grupki zaprzyjaźnionych ze sobą (Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Niemcy, a nawet Polacy). Te niewielkie gromadki nie były jednomyślne. W każdej omawiano różne warianty ucieczki. W nocy z 31 sierpnia na 1 września uciekło dwóch śmiaków (Ukrainiec Gawryło i Polak z Wilna, Stefan, którego nazwiska dziś nie mogę sobie przypomnieć). Jak się później okazało ucieczkę tę planowali i przygotowywali już wcześniej, w wielkiej tajemnicy nawet przed najbliższymi kolegami. Było to tym dziwniejsze, że obaj spali bezpośrednio nade mną i Ryśkiem Muszyńskim. Byliśmy z nimi w przyjaźni, a jednak nie zdradzili się z tym zamiarem.

Sposób ucieczki był bardzo prosty. Otóż wycięli otwór w suficie (jakaś dykta) nad swoim łóżkiem, wyszli na strych, następnie oknem w dachu (o dziwo nie zakratowanym), wydostali się na zewnątrz i uciekli po rynnie, która akurat znajdowała się poza zasięgiem wzroku strażników. O dalszym ich losie nie wiem. Co działo się po ich ucieczce, to trudno dziś opisać. W tym dniu żadna grupa nie wyjechała do pracy. Byliśmy wszyscy po kolei kilkakrotnie przesłuchiwani, a najwięcej ja i Rysiek, bo to nasi sąsiedzi z sypialni. Nasze tłumaczenie, że naprawdę nic nie wiedzieliśmy o ich zamiarze, bo wtedy też byśmy razem uciekli, trafiło esesmanom do przekonania, bo nie zostaliśmy ukarani.

W kilka dni po tej udanej ucieczce, zaraz po pobudce i okrzyku „Essen holen” (odbierać jedzenie), grupa więźniów różnych narodowości przedarła się przez posterunki przy bramie. Mimo psów wielu uciekło. Była wielka strzelanina, kilku więźniów zabito, kilku raniono. Ja i Rysiek też podbiegliśmy do bramy. Już byliśmy na murze, ale w tym momencie nadbiegli inni esesmani i zrezygnowaliśmy z próby ucieczki, uznając ją za zbyt ryzykowną w tej sytuacji. Z uciekinierów nikogo żywego nie przyprowadzono. Po wojnie dowiedziałem się, że wśród tych, którym udało się szczęśliwie zbiec, byli Stanisław Brzozowski – nauczyciel z Warszawy i Kazimierz Sławiński – dziennikarz z Pabianic. Razem z więźniami uciekło dwóch esesmanów (Marian Tomasiakiewicz, volksdeutsch z Tamowa, sprawca rzezi na więźniach w wagonie nr 14 w Langres i sudetendeutsche Skultety).

O dziwo, za tak dużą ucieczkę więźniów (ponad 80 osób) nie byliśmy represjonowani. W tym dniu również żadna grupa nie wyjechała do pracy. Nazajutrz już normalnie pracowały. Zaprzestano tylko wpuszczania samochodów BCK, ale teraz paczki przierzucano nam przez mur.

Z nasłuchu radiowego, prowadzonego jak zwykle przez Helmuta, wiedzieliśmy, że alianci są coraz bliżej, że w naszym pasie w Belgii działa armia polska pod dowództwem gen. Maczka. Nastrój w obozie jest bardzo podniosły. Esesmani palą i niszczą wszystkie dokumenty. Do tej roboty zostało przydzielonych sześciu więźniów – jestem jednym z nich. Udało mi się uratować kilka zdjęć z Alderney (fotografia obozu) i z prac przy oczyszczaniu węzła kolejowego w Tours (mam je do dziś).

W połowie września (15-16, dokładnej daty nie pamiętam) nadszedł rozkaz ewakuacji obozu. Udaliśmy się pieszo około 3 kilometry, pod wzmoczoną eskortą, do stacji kolejowej w Kortemark, gdzie załadowano nas do pociągu, w którym byli już więźniowie skierowani uprzednio do Ostendy. Nie mogliśmy z nimi nawiązać kontaktu, „bo byli w wagonach już zamkniętych. O godzinie 14.15 pociąg ruszył na wschód w kierunku Niemiec. Dopiero na zakrętach toru ujrzeliśmy, że nasz pociąg jest bardzo długi. Było ponad 80 wagonów – kilka osobowych, kilka zupełnie zamkniętych, dwie lory odkryte, na których ustawiono kotły do gotowania strawy. Na początku pociągu, tuż za dwoma lokomotywami, w środku i na końcu, znajdowały się wagony z szybkostrzelnymi działkami przeciwlotniczymi. Widzieliśmy też kilka wagonów z żołnierzami Wehrmachtu. Na niektórych dachach wymalowano czerwony krzyż na białym tle.

Po przejechaniu około 200 kilometrów, już na terenie Holandii, nastąpił wielki wstrząs. Pociąg zatrzymał się nagle. Prycze runęły na nas, niektórzy znajdujący się poza zasięgiem prycz polecili na siebie, zatrzymując się na ścianie wagonu. Ponieważ było dość upalnie, drzwi z jednej strony były otwarte do połowy. Esesmani (po trzech w wagonie), którzy przysiedli przy drzwiach, opuściwszy nogi poza wagon, wypadli pod wpływem wstrząsu na ziemię. Pierwsza myśl – pociąg wjechał na minę. Wyskoczyłem z wagonu, z mną inni koledzy. Zorientowaliśmy się szybko, że znajdujemy się na dużej piaszczystej pustyni. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont nic tylko morze piasku. Ani jednego drzewa, ani krzewu, w ogóle nic nie ma. Nie ma gdzie się schować, więc ucieczka niemożliwa. Esesmani i Wehrmacht też się zorientowali. Powyskakiwali z wagonów i szybko ustawili łańcuch posterunków z karabinami. Okazało się, że partyzantka holenderska rozkręciła szyny. Pierwsza lokomotywa zaryła się w ziemi, a druga za nią „stała dęba”. Kilka pierwszych wagonów osobowych, zajmowanych przez wyższe dowództwo SS i Wehrmacht, uległo dość poważnym uszkodzeniom. Na tej pustyni staliśmy trzy doby. Przenieśliśmy szyny wraz z podkładami na nowy tor, nie uszkodzony. W czwartym dniu dojechała do nas nowa lokomotywa z Rzeszy i tym pociągiem dojechaliśmy po dalszych trzech dobach do Nordhausen w Turynii. Całą dobę przesiadaliśmy w wagonach, aby następnego dnia pojechać dalej.

Dotarliśmy do Sollstadt. Tu wylądowano nas i po pół godzinie marszu znaleźliśmy się w starej, nieczynnej kopalni soli potasowej, gdzie mieliśmy budować w sztolniach magazyny dla SS.

W czasie transportu z Belgii do Rzeszy otrzymaliśmy nazwę VSS-Baubrigade i nowe numery KL-Buchenwald (mój numer 88400). Po zainstalowaniu się w cechowni kopalni soli w Sollstadt, po kilku

tygodniach otrzymaliśmy znów nowe numery KL-Mittelbau-Dora i ponownie nazwę I SS-Baubrigade (mój nowy numer 100231).

Gdy po kilku tygodniach kopalnia została już w większości przystosowana na magazyny, od listopada 1944 roku zaczęły nadchodzić liczne transporty z dużymi skrzyniami. Zawierały one głównie umundurowanie SS, bieliznę esesmańską, buty oraz inne części garderoby, będące na wyposażeniu tej formacji. Skrzynie te, według opisów, pochodziły ze Lwowa, Olsztyna, Gubina oraz z Królewca.

W lutym 1945 roku pod specjalnym nadzorem SS-Sturmbanführera (nazwiska nie znam) dostarczony został transport złożony z kilkudziesięciu, a może i ponad stu skrzyń różnych wielkości (poprzednie były o równych wymiarach metr na metr na metr). Wszystkie nosiły napisy „Königsberg” i oznakowanie „Vorsicht – nicht werfen” („Ostrożnie – nie rzucać”). Cały ten transport był przez co najmniej 10 dni zamurowywany w sztolniach kopalni, bez otwierania i rozpakowywania skrzyń. Operacja była nadzorowana przez pięciu esesmanów obcych i bezpośrednio pod komendą wspomnianego uprzednio SS-Sturmbanführera. Prowadzili bardzo dokładną ewidencję tych skrzyń wraz ze szkicem kopalni. Po zamurowaniu „skarbu” eskorta esesmańską odjechała. Nikt z nas więźniów ani esesmanów z naszego komanda nie zaglądał tam. Wszystkie wejścia do tej części kopalni zostały zamknięte i zaplombowane.

Na początku kwietnia, 5 lub 6 z rana, nastąpiła ponowna ewakuacja naszego komanda. Szliśmy pieszo, prawie trzy doby, do Sangerhausen (około 90 kilometrów). Wielu więźniów, którzy opadli z sił i nie wytrzymali trudów marszu, zostało zastrzelonych. Po drodze spotykaliśmy pojedynczych więźniów, prawdopodobnie z innych komand roboczych rozsianych tu w Turyngii, którzy z głodu chcieli się do nas dołączyć. Jednak komendant na to nie zezwolił. O dziwo, tych więźniów nasi esesmani pozostawili własnemu losowi, ale z naszego komanda, według rozkazu, rozstrzeliwano na miejscu.

Po dojściu do Sangerhausen, gdzie zostaliśmy umieszczeni w jakiejś starej szkole (chyba nieczynnej), pozwolono nam całą dobę wyspać się i najeść do syta. Tu, nie wiem z jakiej przyczyny, został zamordowany w perfidny sposób (leżącemu na plecach położono kij na gardle i dwóch esesmanów, stanawszy na końcach tego kija, uduśiło go) kapo naszej łaźni, Niemiec ze Śląska Paul Schietz.

Następnego dnia nasze władze SS wybrały grupę 10 więźniów (tylko znających język niemiecki Czechów i Polaków), w której byliśmy ja i Rysiek Muszyński, i dwoma ciężarówkami, kierowanymi przez esesmanów, pojechaliśmy do Sollstadt. Nasz komendant SS-Obersturmführer Braun i Lagerführer SS-Hauptscharführer Högelow posługiwali się dokumentami, po okazaniu których byliśmy przepuszczani przez wszystkie posterunki na drogach, mimo że była to już strefa przyfrontowa. Armia amerykańska była już blisko.

Po przybyciu do Sollstadt od miejscowych Niemców (emerytowanych pracowników kopami) dowiedzieliśmy się, że zaraz po naszej ewakuacji przyjechała kilkuosobowa grupa esesmanów i zalała kopalnię. Nasi komendanci nie zdecydowali się na zjazd do kopalni i jeszcze tego samego dnia wróciliśmy do Sangerhausen. W czasie jazdy w obydwie strony byliśmy kilkakrotnie ostrzeliwani z samolotów brytyjskich, ale nikt z nas nie został ranny.

Następnego dnia zostaliśmy załadowani do wagonów, po 40 ludzi, i pociąg znowu ruszył w nieznaną. Kuchnia na wagonach-lorach, obsługiwana przez więźniów – świadków Jehowy, pracowała bez zarzutu. Skąd nasi komendanci I-SS-Baubrigade brali tak dobre zaopatrzenie – nie wiem. Wiem natomiast, że nigdy w obozie nie otrzymałem tak solidnych porcji jedzenia.

Esesmani zaprzyjaźnieni z nami mówili nam, że jedziemy do Trawemunde, by budować tam wyrzutnię V1. Wszystko na to wskazywało, bo mijaliśmy miasta leżące na północ: Nordhausen, Galbe, Magdeburg, Brandenburg, Berlin, Nauen, Friesack, Neustadt, Wittenberge. Tu pociąg nasz zatrzymał się i staliśmy około 3 godzin. Otrzymaliśmy gorący posiłek, bo – jak wspomniałem – kuchnia pracowała bez zarzutu. Okazało się, że dalsza jazda na północ jest niemożliwa, bo Anglicy są już na przedmieściach Wittenbergi. Władze nasze zdecydowały zawrócić.

I znów ta sama droga do Berlina, a następnie – Desau, Halle, Leipzig, Dresden. Następnego dnia wjechaliśmy do Czechosłowacji. W Melniku pod Pragą pociąg nasz został ostrzelany przez samoloty radzieckie. Lokomotywa została uszkodzona, pierwsze wagony za nią (z dobytkiem SS) spłonęły i jeden (dla więźniów) został uszkodzony. Został też ranny w nogę nasz Lagerführer Otto Högelow, który do czasu przyjazdu do Steyer w Austrii już nie wstawał i tu został przekazany do szpitala. W czasie nalotu kilku więźniów zostało zabitych, kilku rannych, a jeszcze kilkunastu uciekło. Wśród uciekinierów byli też Niemcy, ale tych policja czeska przyprowadziła do naszego pociągu. Zostali oni umieszczeni w oddzielnym wagonie, pod zwiększonym nadzorem. Nie mogli wychodzić na zewnątrz, na co nam pozwalano.

W Melniku staliśmy cztery doby, nim Czesi dostarczyli lokomotywę, po czym pociąg ruszył w dalszą drogę. Praga, Pilzno – i tu dalsza jazda niemożliwa. Z powrotem do Pragi. Z Pragi przez Tabor, Budziejowice, do Austrii: Linz – postój jedną dobę (podobno nasze władze SS uzgadniały, co dalej mają z nami robić) i 28 kwietnia 1945 roku dotarliśmy do Steyer.



Przeprowadzono selekcję wśród więźniów. Wszystkich chorych i mniej sprawnych fizycznie odłączono (miano ich odtransportować do KL-Mauthausen, w liczbie około 360). Po uwolnieniu nas przez Amerykanów okazało się, że wszyscy zostali rozstrzelani w lesie koło Steyer. Nam, niby zdrowym, w liczbie 300 przywrócono numery KL-Sachsenhausen (mój numer 48638). Utworzono komando „Bauzug”. Przygotowywaliśmy wagony do dość wygodnego zamieszkania (po 15-20). Podzieliliśmy je na dwie części – jedna sypialnia z pryzkami, druga jako część mieszkalna (jadalnia i szafki na ubrania). W końcu nic z tego nie wyszło, bo 1 maja nadeszła wiadomość, że Berlin został zajęty przez Armię Czerwoną, a Hitler i Goebels popełnili samobójstwo. Nasze władze SS zachowały się bardzo spokojnie.

W czwartek, 3 maja 1945 roku po południu, nasz komendant SS-Obersturmführer Braun zarządził apel i w bardzo łagodnym tonie przemówił do nas. Powiedział, że wojna już skończona, że wszystkie nasze trudy i złe czasy minęły i że powrócimy szczęśliwie do domów, do swoich rodzin. Ale co z nimi będzie, z esesmanami, tego nie jest w stanie przewidzieć ktokolwiek. A więc żebyśmy nie byli narażeni na nieprzewidziane nieszcześcia on rozwiązuje komando. Esesmani mają szukać drogi wyjścia, każdy na własną rękę, natomiast więźniowie jutro przejdą do filii obozu w Mauthausen, która znajduje się o pół kilometra od torów kolejowych.

Tak się stało. Następnego dnia rano zostaliśmy zaprowiantowani – po bochenku chleba, pół kilograma suchej kiełbasy i po 3 puszki (po 250 g) konserw mięsnych. Dodatkowo otrzymaliśmy po jednej 200 gramowej tabliczce czekolady. Osobiste rzeczy, jakie kto miał, mógł zabrać ze sobą. Udaliśmy się z komendantem Braunem do obozu, gdzie przekazano nas pod komendę SS-Slurmbanfuhrera (nazwiska nie pamiętam). Tu otrzymaliśmy cały barak dla naszego komanda. Strażnikami byli tylko starsi wiekiem żołnierze Wehrmachtu – właściwie Volkssturmu. Wreszcie nadszedł dzień upragniony, wytęskniony od pięciu lat... 5 maja 1945 roku

Przed godziną 10-tą dzwon apelowy wezwał więźniów na zbiórkę. Był to ostatni apel obozowy. Kolumny w ciszy oczekiwały (z góry było wiadomo) na otwarcie bramy. Nastąpiło to o godz. 10.15. Do obozu wjechał czołg amerykański z 5 żołnierzami i jednym więźniem. Wystąpił dowódca i po angielsku oznajmił: jesteście wolni. Więzień przetłumaczył to na polski: „Bracia Polacy, bracia Ruscy, bracia Czechi – jesteście wolni!”. Dowódca patrolu chciał mówić dalej, ale wobec okrzyków radości i wiewatów tysięcy więźniów zamilkł. Wtedy ktoś z Polaków zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła”. Śpiewali wszyscy Polacy, pozostali odkryli głowy. Strażnicy w swych punktach wartowniczych zdjęli helmy. Inne grupy narodowościowe poszły za naszym przykładem. Dowódca patrolu salutował podczas śpiewu. Po jego zakończeniu zażądał od komendanta obozu oddania broni. Gdy ten wręczył mu swój rewolwer, straż zaczęły schodzić z posterunków i składać broń. Amerykanie oblali ją benzyną i rzucili na nią granat. Broń płonęła. Poszczególne pociski wybuchły. Następnie Amerykanie odjechali... i więcej się nie pokazali. Wartownicy wraz z komendantem też odmaszerowali w kierunku miasta Steyer. Więźniowie zostali pozostawieni sami sobie. Zaczęły się tworzyć grupy narodowościowe. Wszyscy przygotowywali się do powrotu do domu. Największą rozterkę mieli Polacy. Powstały różne grupy „politykierów”, z których jedni agitowali za powrotem do Polski, drudzy za pozostaniem na Zachodzie, bo w Polsce rządzą komuniści. Nasza mała grupka Polaków (15) z I SS-Baubrigade postanowiła pozostać na miejscu, bo przecież wojna jeszcze trwała, przez front wschodni nie przejdziemy, a jeść trzeba. Nasz przydziałowy prowiant już się skończył, na zaopatrzenie obozowe nie mogliśmy liczyć, bo nie znaliśmy tu nikogo i nas nikt nie znał. Musieliśmy się sami starać o zaopatrzenie. Z tym jednak nie było źle, bo okoliczni chłopcy austriaccy obdarowywali nas szczodrze.

We wtorek, 8 maja, cała nasza „15-tka” wybrała się do miasta. Była to nasza pierwsza wyprawa w pasiakach daleko poza teren obozu. Czuliśmy ten smak wolności. Austriacy interesowali się nami, zapraszali do siebie po kilku. Tak rozbiliśmy się na małe grupki i w końcu się pogubiliśmy.

W południe, „naszą zgraną czwórka” wracamy do obozu. Zdziwiło nas, że ulice puste, tylko patrole wojskowe przejeżdżają „willisami” i to sami „czarni”. W pewnym momencie podjechały dwa „willisy”, z których wyskoczyli żołnierze amerykańscy z oznakami „MP”. Otoczyli nas i krzykami oraz wymachami rąk zmusili do pójścia z nimi pod konwojem. Uszliśmy około 500 metrów. Podprowadzili nas do niemieckiego więzienia i tu przekazali pod opiekę policji niemieckiej, sami zaś odjechali bez słowa wyjaśnienia. Szybko zorientowaliśmy się, że więzienie jest puste, cele pootwierane i tylko jeden niemiecki policjant, bez broni, Austriak. Wyjaśnił nam, że właśnie ogłoszono godzinę policyjną, stąd zakaz poruszania się po mieście. Na pytanie, jak długo tu będziemy wyjaśnił, że do zmiany na posterunku, tj. do godz. 18 (była godz. 13). On sam nie może nas wypuścić. Byliśmy wściekli, że nasz pierwszy spacer na wolności tak głupio się zakończył. Siedzieliśmy przy drzwiach wejściowych i rozmawialiśmy z policjantem na temat obozów koncentracyjnych. Austriak bardzo się tym interesował. Mówił, że wiedział co nieco o obozach, ale nigdy nie wyobrażał sobie, jaki faktycznie miały cel. Około godz. 15.00 pod drzwi więzienia podeszło dwóch policjantów w mundurach oficerskich, ale bez szarży. W trakcie otwierania im drzwi przez policjanta będącego wewnątrz, skorzystaliśmy z okazji i uciekliśmy. Początkowo biegliśmy, ale zauważyliśmy, że nikt nas nie goni, więc zwolniliśmy i już tylko szybkim krokiem udaliśmy się do obozu. Na moście nad rzeką Enns (Aniza) spotkaliśmy grupę

---

Niemców i Holendrów (świadków Jehowy) z naszej I SS-Baubrigade, którzy opuścili obóz, taszcząc ze sobą na dwóch dużych wózkach cały dobytek. Od nich dowiedzieliśmy się, że dziś w nocy został podpisany rozejm o zakończeniu działań wojennych, że właściwie na rzece Euro przebiega granica pomiędzy strefą aliantów a strefą sowiecką. Do godz. 19.00 wolno się przemieszczać do poszczególnych stref, więc oni idą do siebie na Zachód. Byliśmy zdezorientowani. Co robić? W końcu pożegnaliśmy się, życząc sobie wszystkiego najlepszego i poszliśmy dalej. Podchodząc pod obóz ze zdziwieniem zauważyliśmy, że został otoczony czołgami sowieckimi. Przed bramą wejściową stoją „czerwonoarmiejcy” i kontrolują każdego wchodzącego. Sprawdzają, czy nie ma wytatuowanej „wrony” pod pachą na znak przynależności do SS. My z Ryśkiem mieliśmy nieprzyjemny incydent. W ramach wyróżnienia za „dobre sprawowanie” Lagerführer Högelow pozwolił nam na zapuszczenie włosów do długości 3 cm. Przez te długie włosy Rosjanie podejrzewali nas o przebranie się za więźniów. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby niejeden z kolegów Ukraińców, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni. Potwierdził on, że jesteśmy również więźniami i na Alderney bardzo opiekowaliśmy się więźniami innych narodowości. W obozie okazało się, że wielu Polaków z grupy pracujących w Steyerze i kilku naszych kolegów z Alderney przeszło na stronę amerykańską. My postanowiliśmy pozostać w strefie rosyjskiej, aby móc szybciej wrócić do Polski. Dowiedzieliśmy się też, że niedaleko znajduje się obóz Polaków wywiezionych z Warszawy w czasie powstania. W niedzielę, 13 maja po południu, Rysiek, Mundek i ja poszliśmy tam z ciekawości. Spotkaliśmy trzy dziewczyny z małą dziewczynką. Zagadaliśmy, jak to zwykle bywa i zawarliśmy znajomość. Zapytałem, która jest matką tej dziewczyny. Jedna z nich, wyglądająca najbardziej poważnie, odpowiedziała: „To ja”. Odpowiedziałem niedowierzająco: „Ojciec zginął w obozie”. Mój żart był nie na miejscu, w dalszej rozmowie wyjaśniło się, że ta dziewczynka, 6-letnia, jest siostrą dwóch dziewcząt, których ojciec faktycznie zmarł 16 stycznia 1945 roku jako więzień w obozie w Blankenburg, a one w czasie Powstania Warszawskiego wraz z matką zostały wywiezione do Steyera na roboty przymusowe.

Tak zakończyła się historia I SS-Baubrigade i mój pięcioletni pobyt w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.